

NA SZLAKU

WRZESIEŃ
1992
ROK VI NR 9/39

GÓRY * TURYSTYKA * ALPINIZM



Na Hali Gąsienicowej. Na pierwszym planie wierzbowka i kosówka. Foto: Zdzisław J. Zieliński

W NUMERZE M.IN.:

- Listy, opinie, polemiki...
- Recenzje
- Pokutujący schemat
- O wypadkach górskich
- Na szlaku z KTG ZG PTTK
- Kilka refleksji z sesji popularnonaukowej „Bojkowie”
- Georgius Transci Tesch-nensis Silesius
- Zamkowe opowieści (8)
- O szlakach Gór Opawskich
- Szlaki turystyczne w Karpatach Polskich (4)
- Zabytkowe słupki graniczne
- 40 lat temu na łamach „Turysty” (1)
- Góry i alpinizm
- Rozmyślenia na szlaku (20)

Na Szlaku

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy poświęcony górcom.
Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

Zespół redakcyjny: Piotr Dacko (red. techniczno-graficzny), Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny), Andrzej Matuszczyk (Kraków), Stanisław Nosol (sekretarz red.), Ryszard Szlagor (red. wydawnictwa), Juliusz Wyślouch (Toruń).

Stale współpracują: Zbigniew Garbaczewski, Tomasz Kowalik (Warszawa), Aleksander Lwow, Przemysław Pillich (Warszawa), Jacek Potocki.

Adres Redakcji: 50-106 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, II p., tel. 44-26-95.

Wydaje: Oficyna Wydawnicza "Sudety" przy Oddziale Wrocławskim PTTK.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji tekstów. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca.

Druk: Zakład Małej Poligrafii "POLKARTON" we Wrocławiu

Numery archiwalne do nabycia w Redakcji.

Warunki prenumeraty: Prenumerata na rok 1993 wynosi 100 000,- zł.

Zamawiający pokrywa koszty przesyłki. Prenumeratę przyjmuje Oddział Wrocławski PTTK, Oficyna Wydawnicza "Sudety", 50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, II p., Bank Zachodni I O/Wrocław nr konta: 389206-1515-132 z zaznaczeniem "Na Szlaku".

Prosimy o czytelne podanie adresu.

Stały kolportaż prowadzą: CIESZYN – Sklep PTTK "Gronie", ul. Głęboka 42, GLIWICE – Księgarnia "U Piotra", ul. Arkońska 8, JELENIA GÓRA – Oddział PTTK "Sudety Zachodnie", ul. 1-Maja 88 KATOWICE – PTTK, ul. Dyrekcyjna 10, KRAKÓW – Sklep Górski "Wierchy", ul. Szewska 23, NOWY SĄCZ – O/PTTK, Rynek 9, ŚWIDNICA – O/PTTK Świdnica, WAŁBRZYCH – O/Wałbrzyski PTTK, ul. Lewartowskiego 2, WROCŁAW – O/Fabryczna PTTK, ul. Kościuszki 13/5; Centrum Informacji Turystycznej, Rynek 38, ZAKOPANE – Księgarnia Górską im. T. Staicha, ul. Zaruskiego 5 (Dom Turysty) oraz Redakcja.

Listy...

Szanowana Redakcjo!

Pan Andrzej Matuszczyk sporo pisze i popularyzuje szlaki górskie – chwała mu za to! Ale ta chwała byłaby chyba znacznie większa, gdyby się przykładał do roboty solidniej... Już parę razy zgrzytałem zębami czytając jego artykuły, wyprowadziła mnie jednak z równowagi całości „Kaplica MB Królowej Polski” z nr 6/30 „Na Szlaku”, bo tu błędów jest chyba trochę za dużo. Widocznie pan Matuszczyk nawet nie postarał się przeczytać tego, co o tejże kapliczce pisał Tadeusz Kochoński, w wywieszanych przeciw w schronisku na Turbaczu „Wieściach z Górców” (nie licząc tu swojego artykułu w „Halach i Dzieciach”, nr 9 z 1991 r.).

Pomijam już, że Czesław Pajerski został przechrzczony na Franciszka, że „okryta szczególnym kultem Pieta Partyzancka” – jest Pieta Goprowską (odznaka GOPR-u jest bardzo widoczna!), natomiast figurka „Matki Boskiej Leśnej”, czczona w czasie wojny przez partyzantów, znajduje się nie w „głównym kamiennym ołtarzu” (gdzież u licha Autor widział w tej małej kapliczce boczne ołtarze?) lecz w najstarszej części kapliczki, tj. w stojącym za bryłą ołtarza rosochatym pniu, skrępowanym drutem kolczastym, z wbitymi wń trzema bagnetami symbolizującymi trzy armie, które we wrześniu 1939 zaatakowały Polskę: niemiecką, sowiecką i słowacką.

Właśnie ten pień, ze znakiem Polski Walczącej, wybijał się spod drutów kolczastych, z małą figurką Matki Boskiej Leśnej w koronie z cetyny, stojącej między trzema konarami – chronionymi hełmami polskiej piechoty, polskiej kawalerii i polskich zdobywców Monte Cassino – był pierwotną, zniechęconą przez komunistów, kapliczką poświęconą polskim partyzantom. Dlatego też obudowując ją właściwie już kaplicy, postawionej w roku 1979 i ofiarowanej Papieżowi, nadano kształt krzyża Virtuti Militari. Dlatego też belkowanie drzwi kaplicy ma kształt polskiego orła... I chyba o tym należałoby pisać – bo są to sprawy ważne, na pewno ważniejsze niż np. chybiona artystycznie drewniana figura Serca Pana Jezusa.

No i jeszcze sprawa ołtarza katyńskiego. To już prawdziwa rewelacja! Rzeczywiście, z tyłu za kapliczką znajduje się pomnik katyński – chyba pierwszy w Polsce. Ale, jest to pomnik, a nie ołtarz! Nie wiem, jak pan Matuszczyk wyobraża sobie możliwość odprawiania na nim Mszy Świętej?

Kaplica Partyzancka lub Kaplica Papieska (obie nazwy są używane, ta druga obecnie częściej) jest naprawdę warta zobaczenia, i warto poznać jej barwną historię oraz bogatą symbolikę, o której właśnie pan Matuszczyk nie wspomina. Ale przede wszystkim ten, który o niej pisze, powinien najpierw sam się z nią zapoznać.

Janusz Kamocki

Co dalej z Górską Odznaką Turystyczną?

Odznaka GOT przeżyła już swój okres popularności, pojawiają się symptomy poważnego spadku zainteresowania jej zdobywaniem. Myślę, że zjawisko to jest dość złożone, ale niewątpliwie dużym powodem są tutaj same postanowienia regulaminu tej odznaki, które na dzień dzisiejszy nie przystają do istniejącej rzeczywistości.

Początkujący turyści dość często po raz pierwszy widzą góry i poznają je na wycieczkach szkolnych, które niezależnie od ich woli organizowane są w Tatrach. Tam też dowiadują się o GOT i o tym, że na tym terenie zdobyć tej odznaki nie mogą, co pozostawia u tych młodych ludzi niemiłe wrażenie i powoduje rezygnację ze zdobywania GOT najczęściej już na zawsze.

Szczytne postanowienia regulaminu GOT drażnią także zaawansowanych turystów górskich, którzy zdobyli małą złotą GOT, po której uzyskaniu zaczynają uważnie studiować regulamin i ze zdumieniem stwierdzają, że nie są w stanie sprostać tak trudnym wymaganiom. Warunek przejścia po trasie wyznaczonej punktami początkowymi, pośrednimi i końcowymi stał się już od dawna niemożliwym do spełnienia, i to głównie z powodu zaniknięcia w terenie bazy noclegowej i jej braku na rozległych przestrzeniach, uniemożliwiających pokonanie całej wielodniowej wycieczki w ramach zwykłej pieszej wędrowki z plecakiem.

Istniała kiedyś tania baza położona u podnóża gór, którą stanowiły stacje turystyczne PTTK. W tamtych czasach i w tamtych warunkach zaplanowanie trasy do dużej GOT nie sprawiło większych trudności. Ale to już historia. Dziś jest to zupełnie niemożliwe, zwłaszcza, że istniejąca obecnie baza noclegowa i tak rozłożona jest bardzo nierównomiernie i skupiona w popularnych pasmach gór.

Z tych i innych względów większość turystów kończy zdobywanie GOT na małej złotej, wyższych stopni już nie zdobywając, aczkolwiek wytrwale uprawia turystykę górską

przez długie lata. Wielu ma też własne, racjonalne sposoby poznania polskich gór, wcale nie gorsze od pomysłu zawartego w regulaminie GOT, ale nie odpowiada im chodzenie „jak pies na smyczy” po wyznaczonych punktach. Jeżdżą więc w góry tam, gdzie to aktualnie jest możliwe zarówno ze względu na koszty, jak i na bazę noclegową, szukając obiektów możliwie tanich. I nie należy się temu dziwić, gdyż w dzisiejszych czasach wszyscy liczą się z pieniędzmi.

Ten stan rzeczy zmusza turystów górskich do rozważnego gospodarowania swoim czasem i planowania wędrowek niezależnych od GOT. W tej sytuacji już tylko z pobudek snobistycznych ktoś wybiera się w Tatry dla zdobycia wymaganych na dużą złotą GOT 180 punktów, jeśli w rzeczywistości woli Karkonosze, gdzie ma bliżej i taniej go kosztuje pobyt po czeskiej stronie tych gór, która jest nie mniej bogata we wrażenia jak Tatry. A zresztą, ludzie w Tatry czy Karkonosze powinni jeździć z własnej i nieprzymuszonej woli i żaden regulamin nie powinien ich do tego mobilizować. Dlatego postanowienia regulaminu GOT o obowiązku „wydeptywania” Tatr na odznakę, a mógł tam potencjalny zdobywca być już niezliczoną ilość razy wcześniej, uważam za zupełnie absurd.

W takim kontekście należałoby wprowadzić jeszcze obowiązek zaliczenia na dużą brązową GOT 180 punktów w Karkonoszach: 90 w części zachodniej i 90 w części wschodniej, bo to też są góry, które każdy turysta powinien zaliczyć, jeśli ubiega się o GOT. Ale cóż, zdaniem autorów regulaminu, mamy góry bardzo ważne i mniej ważne, wyższe i niższe, strome i łagodne..., ale nie dajmy się zwariować!

A teraz już bez żartów. Zmiany w PTTK są konieczne i nie mogą one ominąć pionu górskiego. Odznaka GOT PTTK musi stać się atrakcyjna, przyciągająca młodych ludzi, którzy powinni być przyszłością Towarzystwa. Dlatego zmiana regulaminu GOT jest po prostu niezbedna.

Lech Rugała

Listy, opinie, polemiki...

Szanowna Redakcjo!

W numerze 4 z 1992 r. Waszego miesięcznika ukazał się artykuł „Marzenie Krygowskiego jest faktem” autorstwa Tomasza Kowalika, dotyczący sprawy wieży na Baraniej Górze.

Po przeczytaniu tego artykułu nasunęły mi się wątpliwości, czy autor tego artykułu rzeczywiście był na wieży, czy tylko oparł się na „Informacjach ZG PTTK” i niesłusznie krytykuje inicjatywę Przewodników Beskidzkich z Katowic oraz podważa autorytet W. Krygowskiego, wielce zasłużonego dla rozwoju turystyki w Beskidach.

Autor ten pisze w swym artykule „wieża nie ma nic wspólnego z tradycjami zagospodarowania gór, chyba że zapatrzymy się w nieodległe w przestrzeni, lecz dość obce kulturowo wzory”. Tu się nie zgadzam z autorem.

Dlaczego obce kulturowo wzory? Na dowód tego, że wieża nie jest współczesnym wymysłem, zamieszczam cytat z przewodnika Bogumiła Hoffa pt. „Lud Cieszyński, jego właściwości i siedziby, obraz etnograficzny”, wydanego w 1888 roku przez księgarnię M. Arcta z Warszawy:

„Wpierw winniśmy się zorientować, co do położenia. Skorzystajmy z postawionego tu znaku triangulacyjnego, służącego inżynierom za punkt wyjścia do pomiarów kraju. Znak ten w formie piramidy, wybudowany z grubych drzew i przez Wiślan mylnie basztą zwany, podnosi się do wysokości wierzchołków lasu. W górnej części piramidy urządzona jest platforma z barierą dokoła, a przystęp do niej umożliwia drabina olbrzymia. Wspinany się po niej na

platformę. Lecz i stąd nie widziałbyś nic, gdyby troskliwa ręka nie była ścięta wierzchołków z najbliższej stojących świerków. Stanąwszy tu na tej sztucznej wysokości w pierwszej chwili doznajesz rodzaju zawrotu głowy, bo widok stąd jest olśniewający.

Autor dopytuje się, dlaczego nie pobiera się opłat za wejście na wieżę? Gdyby autor był na wieży, to wiedziałby, że nie stoi ona przy schronisku, tylko na szczycie, gdzie trzeba iść ze schroniska ok. 1 godz., a zatrudnienie pracownika PTTK przy wieży byłoby bezsensowne, ponieważ koszt utrzymania pracownika i stworzenie mu tam warunków do pracy wiązało by się z wybudowaniem pomieszczenia na wypadek niepogody, a to dopiero wpłynęłoby na zdegradowanie środowiska na szczycie.

Wcale się nie dziwię, że pobiera się opłaty przy wejściu na wieżę Eiffla w Paryżu czy Pałac Kultury w Warszawie, ale te obiekty mieszczą się w centrum wielomilionowego miasta, gdzie dziennie przebywa tam kilka tysięcy turystów. Zresztą sam autor mieszka w Warszawie, powinien więc wiedzieć, jaka jest różnica pomiędzy Pałacem Kultury a wieżą na Baraniej Górze.

Uważam, że bardzo dobrze się stało, że oddano wieżę widokową dla turystów, którzy mogą z niej korzystać za darmo. Dzisiejsze czasy nie należą do latych pod względem finansowym dla turystów.

Autor krytykuje wieżę za to, że została postawiona w rezerwacie przyrody i zniszczony został krajobraz: „I wtedy szpeci panoramę jak

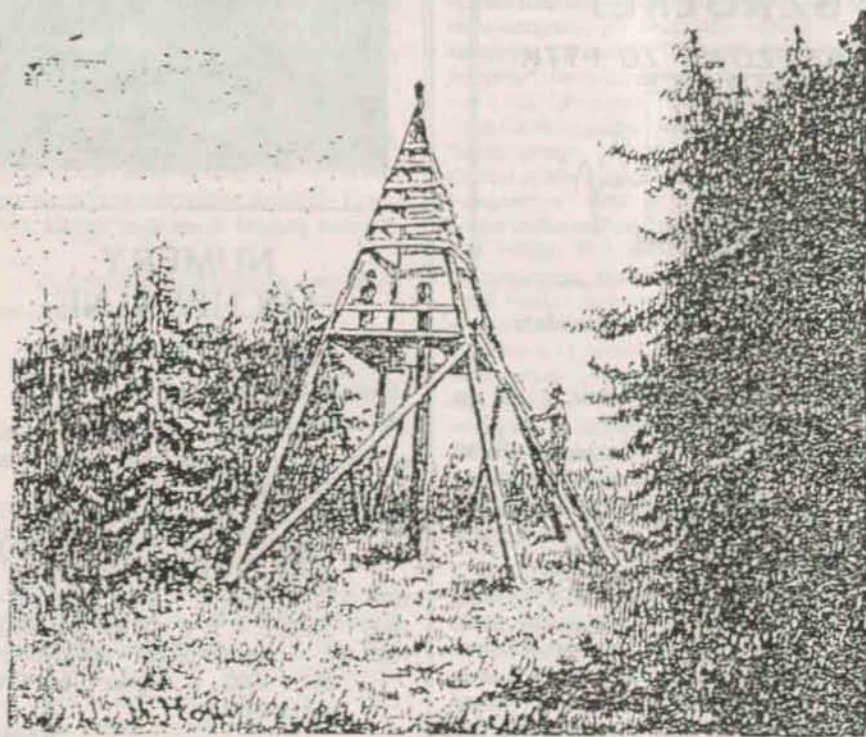
rzadko kiedy”. Gdyby autor był na wieży to wiedziałby, że wieża ta nie wpływa istotnie na krajobraz, ponieważ wystaje tylko kilka metrów nad górną granicę lasu, który w tej części Baraniej Góry już i tak nie rośnie, bo uniemożliwiają mu to warunki atmosferyczne, tzw. „skarłowacenie drzewa” i nie spełni się „marzenie Kowalika”: „oby drzewa pod szczytem Baraniej Góry rosły jak najwyżej – może zasłonią Marzenie Krygowskiego”. Tym bardziej wieża nie ma wpływu na rezerwat przyrody, gdyż chroni się w nim górski las mieszany o charakterze pierwotnym, przechodzący w bór wysokogórski oraz tereny źródłiskowe Białej i Czarnej Wisetki.

Przy budowaniu tej wieży zachowano wszelkie warunki bezpieczeństwa ze względu na rezerwat przyrody. Jeżeli chodzi o zniszczenie krajobrazu, to autor wiedziałby, że krajobraz został bardziej zniszczony przez postawienie kilkakrotnie większej wieży przekaźnikowej na Skrzycznem i budynek dla obsługi oraz drogę, która została wykonana specjalnie dla budowy tej wieży. Skrzyczne znajduje się zaledwie w odległości 3 godzin marszu od Baraniej Góry. Z Piłska czy gdziekolwiek w Beskidzie Żywieckim wieża na Baraniej Górze jest niewidoczna.

Jeżeli chodzi o koszty wieży, to powstała ona między innymi ze składek, jakie wpłynęły na konto w banku na hasło „Wieża”, a równe jest to z aprobatą inicjatywy wybudowania wieży przez turystów.

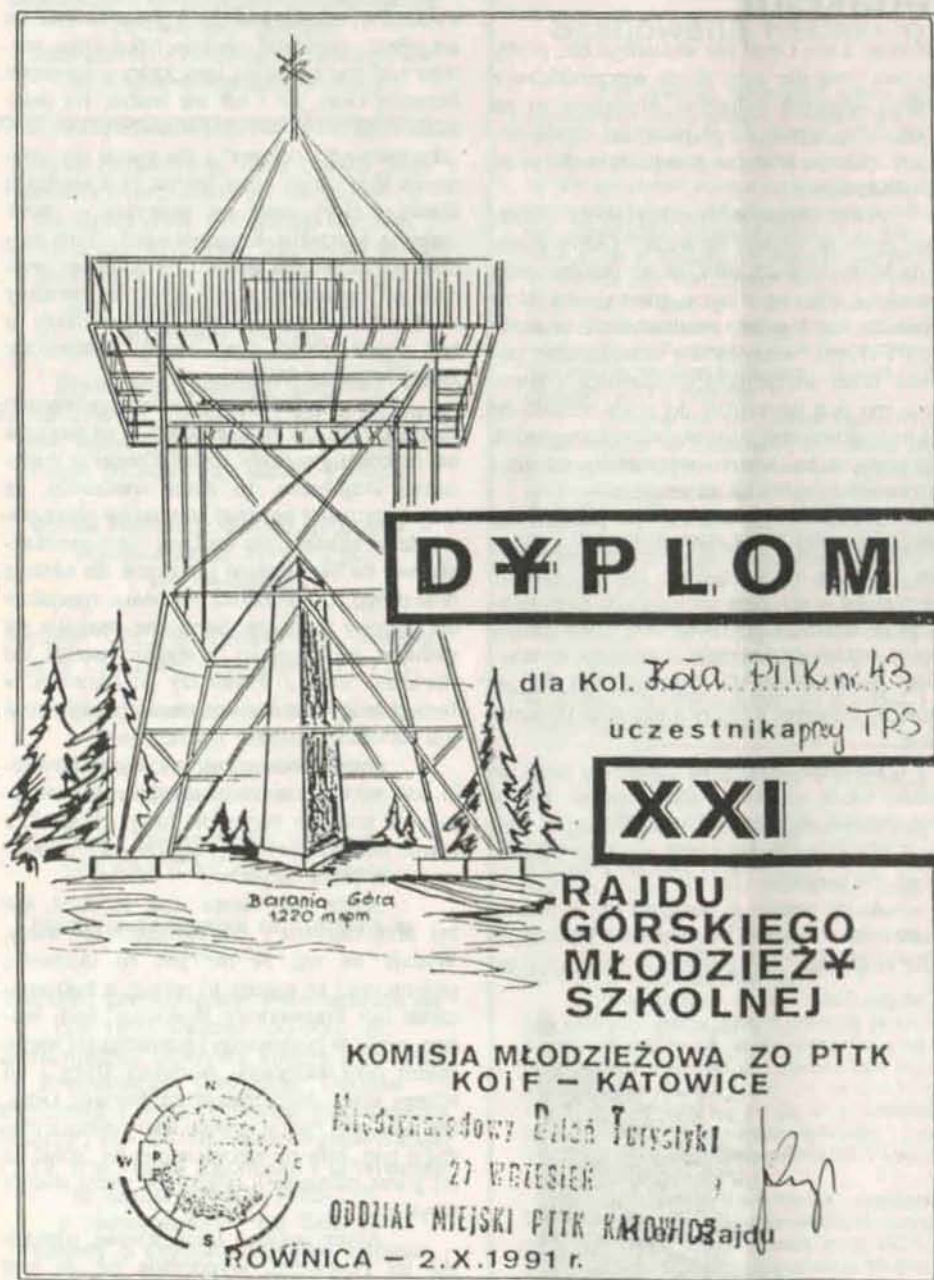
Autor tego tekstu chce wiedzieć, kto był projektantem i budowniczym tej wieży. Wydaje mi się, że nie jest to tajemnicą państwową i że można to ustalić, a budowniczymi byli Przewodnicy Beskidzcy. Sam brałem udział w budowaniu i stawianiu tej wieży, byłem przy wkręcaniu pierwszej śruby i na własny koszt dojeżdżałem na Baranią Górę, tak jak i inni. Przy stawianiu wieży nikt nie myślał o tym, żeby po zmontowaniu jej „robić na tej górze pieniądze”, tylko żeby wieża służyła turystom.

Autor porusza także sprawę schroniska na Przystopie. Wypowiada się, że brał udział w otwarciu tego schroniska i że jest ono lepsze od poprzedniego. Ja natomiast uważam, że jest to najgorsze schronisko pod względem architektonicznym w całych Beskidach Zachodnich, bo równie dobrze by było taki budynek postawić w centrum Warszawy i też by pasował, a teraz przy małym ruchu turystycznym utrzymanie takiego kolosa kosztuje duże pieniądze, a przy przeprowadzaniu remontu zamyka się schronisko całkowicie prawie na dwa miesiące. Turysta, liczący na kubek ciepłej herbaty na szlaku, w razie niepogody staje przed faktem dokonanym i zostaje skazany na własne siły. Byłoby lepiej, gdyby stało tam jeszcze stare schronisko, dające własną atmosferę schroniskową. Bardzo dobrze się



Rysunek dawnej wieży z przewodnika „Lud Cieszyński...” Bogumiła Hoffa

Listy, opinie, polemiki...



Dyplom dla uczestników Rajdu Górskiego zorganizowanego z okazji otwarcia wieży

stało, że pomysł wybudowania nowego schroniska na Markowych Szczawinach pod Babią Górą nie został zrealizowany. Strach pomyśleć, co by było, gdyby i ono było niespodziewanie zamykane z powodu remontu.

Szanowna Redakcjo, mam nadzieję, że ten list sprawi, że wasi autorzy tekstów, jak już o czymś piszą i krytykują, to niechaj najpierw zobaczą to na własne oczy, bo na tym traci Wasz autorytet.

Jeżeli chodzi o autorytet (Przewodnika?) Tomasza Kowalika, to wydaje mi się, że

najpierw należy samemu pokazać, na co go stać, a potem krytykować innych.

Mirosław Nawrocki
Przewodnik Beskidzki
Koło Przewodników Turystycznych
w Chorzowie

Od Redakcji: Do listu załączono także barwne fotografie, które ze względów technicznych, niestety, nie możemy opublikować oraz podpisy 14 członków KPT z Chorzowa. Dodajmy, że generalnie Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść publikacji. Chcemy być wolną trybuną dla wszystkich.

Droga Redakcjo!

Wysyłam zdjęcie „Krzyże pokutne” z Jeleniej Góry, a także zdewastowaną zabytkową kaplicę Joannitów, która zasługuje być prawnie chroniona. Czy nikt nie może się tym zająć, by owe budowle nie były dewastowane w dalszym ciągu? Jednak to były piękne czasy, gdy kwitła kultura, a wraz z nią ludzie kulturalni żyli na terenach Polski i budowali okazałe budowle. Pytam, jakim prawem niszczy się i nikt tego nie ochrania? Owa kaplica znajduje się w Łądku-Zdroju.

Z poważaniem
Andrzej Gawryluk



NUMERY ARCHIWALNE „NA SZLAKU”

Informujemy, że posiadamy jeszcze w sprzedaży następujące numery archiwalne „Na Szlaku”:

1992 - 4, 5, 6, 7-8 - cena po 8000,- zł z wyjątkiem podwójnego 7-8, który kosztuje: 15 000,- zł.

1991 - 1, 2, 4, 5, 6 - cena po 6000,- zł.

1990 - 1, 2, 3, 4, 5, 6 - cena po 5000,- zł.

1987-89 - egzemplarze pojedyncze w cenie 3000,- zł. Wykaz prześlemy na życzenie.

Redakcja

Szanowni i Mili!

Niedawno miałem okazję po wielu latach przerwy odwiedzić znany Łądek-Zdrój. Przy okazji wstąpiłem na stary cmentarz łądecki, gdzie zauważyłem totalne ruiny obiektów zabytkowych (oznakowanych), a konkretnie kaplicę cmentarną z zapadniętym dachem, oznaczoną numerem zabytku chronionego 1066, mauzoleum generałowej Zofii Schuler i setki nagrobnych pomników podzielonych na części – tj. pozostały tylko te porozbijane, reszta (materia!) znikła z terenu cmentarza razem z kilkudziesięcioletnimi tujami, wycinanymi jak leci, tylko w jakim celu, bo drewno nadaje się bodaj tylko do palenia w piecach. Jednym z niewielu ocalałych nagrobków jest pamiątka po pierwszym proboszczu parafii w Łądku-Zdroju – z 1947 r., a więc z „pierwszego okresu”, ks. Jana Woronieckiego.

– Czy da się coś z tą sprawą zrobić Waszymi siłami?

W Łądku mieszka Krzysztof Ciszewski, właściciel Zakładu Przerobu Kamienia na materiały budowlane – Usługi Kamienniarstwa, który znajduje się przy ul. Langiewicza 5. W rozmowie wspominał mi, że stan opisanego wcześniej cmentarza pogarsza się z roku na rok, i on – choć ubolewa nad jego stanem – nie jest w stanie nic zrobić dla jego uratowania. Cmentarz niszczy prawdopodobnie za sprawą przyjeżdżających, współczesnych szabrowników. Odczuwa to szczególnie przykro, gdyż jest człowiekiem w tej branży nowym, warsztat prowadzi ledwie kilka lat, docenia jednak jego wartości historyczne, ale... Podejrzewam, że wielu innych młodych ludzi w Łądku ma podobne zdanie i czuje się bezradnie wobec problemu, któremu nie mogą poradzić miejscowe władze, odleglejsi konserwatorzy zabytków, czy wręcz miejscowa policja i działacze naszego Towarzystwa, którzy mają swoje kłopoty codzienne...

Tymczasem pozdrowienia i owocnych wydań „Na Szlaku”!

Stały współpracownik
Tomasz Kowalik

P. S. Ten człowiek w Łądku być może byłby dobrym wykonawcą tablic pamiątkowych, np. na Symbolicznym Cmentarzu Ofiar Gór w Karkonoszach czy innych obiektów, które są w kręgu naszych zainteresowań (jubileusze oddziałów, nagrobki działaczy PTTK, tablice pamiątkowe itp.). Ma materiały, potrafi robić w białym marmurze (Wasz teren to surowce) i granitach, robi też napisy i ma własny transport.

Recenzje

Huculszczyzna jest tematem stale bardzo modnym, atrakcyjnym, ale i do badań wyjątkowo trudnym. Nie idzie tu bowiem li tylko o względy erudycyjne, ale przede wszystkim metodologiczne. Jest to bowiem obszar wielokulturowy. Badacz musi dysponować umiejętnościami z wielu zakresów, musi doskonale łączyć ogromną wiedzę z precyzyjnie dobranymi technikami badawczymi. Prób ogarnięcia tego obszaru było bardzo wiele, choć sytuacja często bywała trudna i delikatna. Jest to jedna z przestrzeni kulturowych niezwykle ważna w dziejach narodu – „część dawnego województwa stanisławowskiego, obszar położony w górnym dorzeczu Prutu i Czeremoszu, w Karpatach Wschodnich, ojczyzna karpackich górali – Huculów i ognisko chasydyzmu, miejsce polskiego osadnictwa i skupisko Ormian. Region współistnienia kilku języków, narodowości, kultur i religii, opisany i utrwalony przez Stanisława Vincenza jako

Huculszczyzna w literaturze polskiej to książka ogarniająca całą gamę zagadnień. Autor nie pomija żadnych kwestii, nawet tych najtrudniejszych, porządkuje przejrzyście całą, znaczącą w tytule problematykę, opierając ją na niezwykle bogatym materiale, poszukuje odpowiedzi na współczesne dylematy dotyczące tego wielotekstowego obszaru. Choroszy pokazuje miejsca i ludzi, literackich bohaterów i tych „górami urzeczonych”. Ogromnym walorem pracy jest literacka forma dzieła. Huculszczyzna bowiem to nie tylko kawał czasu mierzonego skalą życia dzisiejszego pokolenia, ale to przede wszystkim niezwykle bogate dzieło minione. Precyzyjnie i skrupulatnie Choroszy wykorzystuje źródła, pokazuje teren i ludzi, z niezwykłym taktem badacza ukazuje „rozmaitej materii pomieszanie”. Autor wyjaśnia odrębność kulturową, kwestie wyznaniowe, wszystkie istotne

Nowa książka o Huculszczyźnie

„słowiańska Atlantyda”, ale i – co jest może ważniejsze – jako przestrzeń dialogu i przyjaźni, wzajemnej odpowiedzialności, wspólnoty. Region niezwykle bogaty kulturowo, zachwycający krajobrazem, pociągający zarówno zagadkowością pochodzenia Huculów, jak i tajemniczością ich życia duchowego”.

Bardzo ciekawą i bardzo udaną próbę ogarnięcia tych wszystkich kwestii stanowi książka Jana A. Choroszego pt. *Huculszczyzna w literaturze polskiej*, która ostatnio ukazała się we Wrocławiu, a wydana została dzięki dotacji Uniwersytetu Wrocławskiego nakładem własnym Autora. Ten świetny, młody znawca zagadnienia już wcześniej opublikował wiele rozpraw i artykułów dotyczących Huculszczyzny, jak chociażby: *Romans z Huculszczyzną*, „Wierchy” 1984; *Na plaży „Wysokiej połoniny”*, *Huculszczyzna w literaturze polskiej* po rok 1939, „Przegląd Powszechny” 1985, nr 10; *Sezam komiwojażera*, *Huculskie powieści Juliusza Turczyńskiego*, „Literatura Ludowa” 1987, nr 4/6; *Czarodziejska góra Stanisława Vincenza*, „Przegląd Powszechny” 1987, nr 6; *Świat Huculszczyzny w prozie Juliusza Turczyńskiego*, *Iw/1 Kultura, literatura, folklor*. Pod red. M. Graszewicza i J. Kolbuszewskiego, Warszawa 1988, s. 263-278; *Gdzie szum Prutu, Czeremoszu...*, „Odra” 1988, nr 12; *Po stronie Stanisława Vincenza*, „Odra” 1989, nr 4; *Stanisława Vincenza „Notatnik 1938 – 1944”*, *Fragment lektury*, „Akcent” 1991, nr 1. Autor uczestniczył też w wielu poważnych konferencjach naukowych, np. w 1987 w Lublinie na KUL, w 1988 r. w Budapeszcie, a w 1989 r. sam był organizatorem międzynarodowej konferencji poświęconej Stanisławowi Vincenzowi i Huculszczyźnie, która odbyła się we Wrocławiu. Pisano o tym i mówiono wiele. To za sprawą Jasi Choroszego wrocławska Aula Leopoldina zgromadziła najwybitniejszych badaczy życia i twórczości Stanisława Vincenza z całego świata (byli to przedstawiciele 12 krajów) i Polski. Honorowym gościem konferencji był syn pisarza prof. Andrzej Vincenz. Specjaliści ocenili bardzo wysoko konferencję i udział w niej Autora omawianej tu książki. Już wówczas Jan Choroszy uchodził za wielkiego znawcę huculskiej problematyki.

dziedziny życia, huculskie problemy, które nadal stanowią przedmiot zainteresowań.

Dobry początek zachęca i – nie wiadomo nawet kiedy – „spotkanie” z Huculszczyzną, poprzez doświadczenia różnej literatury – rzetelnie i pięknie opisane, dobiega końca. Proporcje poszczególnych rozdziałów są precyzyjnie wyważone. Monografia ta jest pasjonującą lekturą, która uświadamia czytelnikowi to, co wyróżnia Huculszczyznę spośród wielu innych regionów, zaskakuje często subtelnością – ale także ważnymi szczegółami. Autorowi udało się – tak jak w soczewce – skupić naukowe, kulturowe i literackie tradycje tych ziem, wszelakie pogranicza, burzliwe dzieje i zmagania ludzi.

Praca ta stanowi ciekawostkę wydawniczą i historyczną – jest literackim dokumentem epoki i obyczajowości nieznannej szerzej współczesnemu czytelnikowi. Ta „arkadia słowiańska i prasłowiańska, relikwety wielkiej prakultury, dla pokoleń dwudziestowiecznych, aż do zupełnie współczesnych, arkadia wielonarodowościowej i wielokulturowej wspólnoty” jest godna poznania i propagowania choćby dlatego, że Autor książki jest niezwykle dobrze przygotowany do tego, by mówić i pisać o ojczyźnie Huculów, gdzie nie tylko wartko płynął Prut i Czeremosz...

Warto by się zastanowić, do kogo adresowana jest ta książka? Myślę, że nie tylko historyk literatury, badacz Huculszczyzny, ktoś kto ją znał i z rozrównaniem wspomina, znajdzie w niej coś dla siebie. Powinien po nią sięgnąć także każdy krajoznawca, który „szuka wiedzy o Polsce – sercem”.

Pola Kuleczka

Jan A. Choroszy, *Huculszczyzna w literaturze polskiej*. Wrocław 1991. Wydawca Jan A. Choroszy, ul. Solskiego 21/4, 52-401 Wrocław, ss. 374.

Recenzje

Połoniny i Magury rediviva

W kręgu miłośników gór, a w szczególności Karpat, znane i cenione były wychodzące w zmiennym odstępnie czasu wydawnictwa Połoniny i Magury. Ich wydawcą było Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich, stąd i czytelnicy przez dłuższy czas rekrutowali się z kręgu studenckiego. Poziom jednak merytoryczny sprawił, że kolejne zeszyty znajdowały coraz szersze uznanie. A potem nastąpiła przerwa, trwająca chyba ze trzy lata. Chyba nie będę w błędzie, jeśli zaryzykuję twierdzenie o kłopotach finansowych. Dziś albo bogaty sponsor albo masówka, przeznaczona dla przeżuwających tylko czytelników. Zapaleńcy-redaktorzy zdolali widać przekonać do swych pomysłów Towarzystwo Karpackie, gdyż na najnowszych pozycjach figuruje jako współwydawca. Dzięki temu latem otrzymaliśmy już bardzo ładnie prezentujące się edytorsko tomiki, z kolorową okładką nawet dla „Magury '91”. Właśnie w tym drugim znajdujemy całe

bogactwo materiałów o Łemkowszczyźnie i Łemkach, ciągle mało znanych w naszym społeczeństwie, a przecież tak atrakcyjnych kulturowo i historycznie. Rzecz jest o tyle cenna, że w dużej mierze opracowania są tłumaczeniami bardzo trudno dostępnych tekstów.

„Połoniny 90/91” natomiast koncentrują się, zgodnie z nazwą, na problematyce bieszczadzkiej, przy czym materiały są tu bardziej zróżnicowane: od krajoznawczego sprawozdania do wnikliwych opracowań historycznych. Z przyjemnością dostrzeżliśmy wśród autorów i naszego wiernego twórcę, Tomasza Kowalika. W końcowej części pomieszczono też różne drobniejsze ciekawostki i informacje. Z całym przekonaniem zachęcam do sięgania po te pozycje. Ciekawi mnie wszelako, na ile pozycje te rozechodzą się wśród mieszkańców opisywanych terenów. Może ktoś o tym napisać?

K. R. M.

Książkowy urodzaj

Tego chyba jeszcze nie było! W ciągu jednego miesiąca ukazały się aż trzy pozycje poświęcone wschodniej części Ziemi Kłodzkiej, dotyczące okolic Łądka-Zdroju i Masywu Śnieżnika. Są to:

– *Łądek Zdrój i okolice* Zbigniewa Martynowskiego i Krzysztofa R. Mazurskiego, wydany w serii uzdrowiskowej przez „Sport i Turystykę”,

– *Łądek Zdrój* Wojciecha Ciężkowskiego, wydany poprzez Oficynę Wydawniczą „Sudety”, o charakterze monografii tej miejscowości,

– *Masyw Śnieżnika i Góry Białskie* K. R. Mazurskiego, wydane przez Oficynę „Sudety”, jako kontynuacja serii przewodników pasmowych po Sudetach.

Wiemy, że ukazał się jeszcze jeden przewodnik łądecki, wydany przez spółkę miejscowych autorów. Jest w czym wybierać, choć w zasadzie każda z pozycji ma inny charakter i nie jest wzajemnie konkurencyjna.

Informujemy, że

pozycje *Łądek Zdrój* W. Ciężkowskiego oraz *Masyw Śnieżnika i Góry Białskie* K. R. Mazurskiego można nabyć, przesyłając przekaźnikiem pocztowym na adres Redakcji następujące kwoty: 33 000,- i 23 000,- zł.

Aby otrzymać opisane obok *Pręgierze* należy przesłać kwotę 21 000,- zł.

Uwaga „Krzyżowcy” i im podobni!

Dziś takie czasy, że – na szczęście – każdy może wydawać bez większych przeszkód. Ale to oznacza, że coraz trudniej skompletować interesującą czytelnika literaturę. Stąd przepływ informacji o nowych wydawnictwach jest szczególnie ważny. Miło więc nam powiadomić, że współpracujący często z nami Krzysztof Tęcza ze Zgorzelca wydał własnym (!) sumptem książeczkę o 27 str. pt. „Kamienne obiekty dawnego prawa na ziemi jeleniogórskiej”. Omówił w niej dość szczegółowo 154 obiekty, głównie krzyże pokutne, ale i pręgierze, i stoły sędziowskie, znajdujące się w 65 miejscowościach. Całość uzupełnia 35 pozycji polskiego piśmiennictwa. Acha, gdzie to zdobyć? Trudno powiedzieć, myśmy to kupili w Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze za „jedynę” 19 000,- zł.

Rzecz

o pręgiezach

Skromnie, bo skromnie, ale starannie i przede wszystkim wyczerpująco, Bractwo Krzyżowców w Świdnicy wydało pierwszą część monografii „Kamienne pomniki dawnego prawa na Dolnym Śląsku” pt. „Pręgierze”. Witold Milka, syn znanego miłośnika i badacza tego rodzaju zabytków, wydał na podstawie materiałów ojca, uzupełniony i rozszerzony opis zachowanych i nieistniejących słupów. Całość poprzedzona odpowiednim wprowadzeniem, liczne rysunki, stanowią o wysokiej wartości pozycji, w której można znaleźć informacje także o tak unikatowych obiektach, jak stoły sędziowskie i szubienice – w większości w Sudetach! Dystrybucją zajmuje się Bractwo Krzyżowców PTTK w Świdnicy. Można ją nabyć także w naszej Redakcji. Objętość: 46 str., cena: nie podana.

BRACTWO KRZYŻOWCÓW PTTK ŚWIDNICA

Seria monograficzna - Zeszyt nr 2

JÓZEF MILKA WITOLD MILKA

PRĘGIERZE

KAMIENNE POMNIKI DAWNEGO PRAWA NA DOLNYM ŚLĄSKU
część 1



ŚWIDNICA - Grudzień 1991

Ranga trzeciego już spotkania Oddziałów PTTK z terenu Karpat niepomniernie wzrosła, gdy jego uczestnicy nadali dotychczasowym zgromadzeniom formę oficjalną. W dniu 6.06.1992 r. powstała bowiem, ze stałą siedzibą w Nowym Sączu, nowa struktura naszego Towarzystwa. W oparciu o rozdz. 51

o.o. dla gospodarki schroniskami, pozostała bazą w górach i poza nimi. Równocześnie poddano ostrej krytyce decyzję Plenum ZG PTTK rozwiązującą Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK, gdyż zdaniem oddziałów idea i merytoryczne podstawy tegoż Ośrodka pozostawały niezmiernie ważne i istotne

bliskiej już finalizacji pierwszej z nich dla gospodarowania obiektami PTTK w województwach nowosądeckim i bielskim z siedzibą w Nowym Sączu. Idea spółek nie cieszy się jednak zbyt dużą sympatią oddziałów, które okazują dużą rezerwę, zwłaszcza co do sprzeczności pomiędzy, ich zdaniem,

FORUM KARPACKICH ODDZIAŁÓW PTTK

Statutu PTTK przedstawiciele dziewiętnastu oddziałów, w obecności wiceprezesa PTTK Edwarda Kudelskiego, zrzeszyli się w Forum, które przybrało nazwę podaną w tytule niniejszej informacji.

Jest to, moim zdaniem, niezwykle ważne wydarzenie m.in. w aspekcie trwającej już kampanii sprawozdawczo-wyborczej przed Krajowym Zjazdem PTTK, lecz także i z tego względu, iż pierwszym istotnym krokiem będzie realizacja postanowień dwóch poprzednich takich spotkań sięgających wiosny 1991 r.

Tak się złożyło, że po 13.04.1991 r., tj. po I Forum, nastąpiło w naszym Towarzystwie szereg wydarzeń istotnych tak w gospodarczej działalności, jak i sferze merytorycznej. Gdy przed ponad rokiem przedstawiciele 22 oddziałów z Karpat zebrali się w Oddziale PTTK w Rabce, rozpoczynały się właśnie ważne przekształcenia strukturalne w Statucie (rozwiązanie ZW PTTK, dążenie do wzrostu roli oddziałów jako podstawowych jednostek Towarzystwa). Nawoływano przy tym, aby oddziały bardziej liczyły na samodzielne wypracowanie środków i zacieśniały dobre kontakty z lokalnymi władzami. Za sfery najistotniejsze dla istnienia Towarzystwa w nowych warunkach zostały uznane: działalność piśmiennicza i wydawnicza, funkcjonowanie bazy i szlaków turystycznych w górach oraz system zniżek członkowskich.

Po sezonie letnim 1991, gdy oddziały karpackie zebrały się w październiku na II Forum w Nowym Sączu, szereg z nich ponownie już odzyskało osobowość prawną, czemu towarzyszyły głębokie przekształcenia w gospodarce PTTK. Wraz z likwidacją niektórych OZGT PTTK po raz pierwszy pojawiły się projekty tworzenia Spółek z

dla środowiska górskiego od lat ponad dwudziestu.

Czas i życie najlepiej same dopisały to, co możemy dziś oglądać na ul. Jagiellońskiej 6/6a. Nazwę COTG PTTK nosi powołana w lutym 1992 r. Fundacja Górską PTTK. Ogrom prac, wykonanych przy organizacji nowej siedziby ogólnopolskiego centrum turystyki górskiej przez członka honorowego PTTK Edwarda Moskałę i skupione wokół niego grono działaczy z Podkomisji Kultury i Historii Turystyki Górskiej KTG ZG PTTK, jest trudny do przecenienia. Miejmy teraz nadzieję, że Fundacja będzie wspomagać finansowo działalność merytoryczną turystyki górskiej.

Co do tworzenia Spółek, to uczestnicy III Forum dowiedzieli się o

handlowym charakterem spółek, a zapewnieniem merytorycznych warunków realizacji zadań tych oddziałów. W czerwcowym Forum w Nowym Sączu oddziały ponownie opowiedziały się za zerwaniem porozumienia PTTK z TPN z 1975 r. w sprawie remontów ścieżek szlaków turystycznych w Tatrach. Co do sieci szlaków w całych Karpatach, postulowano ich daleko posuniętą stabilizację oraz jak najściślejszą współpracę pomiędzy oddziałami góorskimi a KTG ZG PTTK.

Na prezesa Forum Karpackich Oddziałów PTTK wybrany został członek honorowy PTTK i prezes Oddziału PTTK „Beskid” w Nowym Sączu Władysław Stendera.

Andrzej Matuszczyk



Widok na Giewont z Zakopanego. Foto: Piotr Dacko

POKUTUJĄCY SCHEMAT

Zaginiecie Wandy Rutkiewicz podczas wyprawy na kolejny ośmiotysięcznik i wypadek w rejonie Giewontu i Czerwonych Wierchów spowodowały falę, niewielką zresztą, rozmów i dyskusji na temat bezpieczeństwa wspinaczy i turystów w górach. W radio i TV słuchaliśmy wypowiedzi Andrzeja Zawady i Andrzeja Paczkowskiego. Właśnie z rozmowy radiowej z prezesem PZA w III programie PR, 11 czerwca br., wyłowilem zdanie, które wzbudziło niepokój i skłoniło do podzielenia się nim z czytelnikami. Mówiąc o bezpieczeństwie w górach pan Paczkowski stwierdził, że jedną z przyczyn nieszczęśliwych wypadków jest to, że turyści nie zdają sobie sprawy z zagrożeń, nie mają świadomości zagrożeń. Zdaniem prezesa wspinacze mają świadomość, bo są obowiązkowo szkoleni i na kursach dowiadują się o niebezpieczeństwach gór.

Jestem turystą, a zatem jako osobnik nieświadomy ustosunkuję się do owej niefortunnej, moim zdaniem, wypowiedzi. To kryterium świadomości jest dobrym przyczynkiem do dyskusji: kto jest turystą górskim, a kto nie? Trzeba część racji oddać panu Paczkowskiemu, wielu zwiedzających góry rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z zagrożeń, może nawet większość, ale według mnie nie są to turyści. A w wypowiedzi prezesa zadziałał schemat, który tak można ująć w skrócie – „wspinacze i reszta”, przy czym owi wspinacze to znawcy gór, sprawni, doświadczeni, wyszkoleni, przeczorni itd. itp., a reszta to deptacze gór, jacyś turyści leżący, gdzie trzeba, nic nie wiedzący, nic nie umiejący – ot po prostu turyści. Schemat ten

jest wciąż, niestety, „obowiązujący” w niektórych kręgach, a to że posłużył się nim pan Andrzej Paczkowski, jest dla mnie niezrozumiałe – kto jak kto, ale taki znawca spraw górskich i wspinaczkowych powinien bardziej precyzyjnie formułować myśli i nie powinien używać utartego i bezsensownego schematu.

Schematy i ogólnienia często zawodzą i tak też dzieje się z owym kryterium świadomości zastosowanym w przytoczonej wypowiedzi. W przypadku wspinaczy, jak uczy życie, na nie zdaje się wyszkolenie, gdy zabraknie rozsądku, czyli świadomości. Mało to było wypadków, kiedy taternik źle ocenił swoje siły i umiejętności lub trudności terenowe?

Nie pomaga wyszkolenie, kiedy zabraknie świadomości, kiedy brawura i chęć popisania się bierze górę nad rozumem. Nie łączmy więc tak ściśle wspinaczkowych kursów i szkoleń ze świadomością, bo jedno od drugiego bywa przeważnie niezależne.

Śmiem twierdzić, że prawdziwy turysta górski idąc w góry ma świadomość zagrożeń i niebezpieczeństw wynikających z warunków terenowych, pogody, własnych umiejętności i kondycji. Jak pisze Stanisław Primus w „Optymiście”, nr 11 („Kto i po co chodzi w góry? – mała typologia górskiego wędrowca”), klasyczny turysta górski „wie czego góry od niego wymagają i czego może się po nich spodziewać”. Jest to krótka, ale znakomita definicja turysty. Kogo zatem miał na myśli prezes PZA? – może wczasowiczów, kolonistów, wycieczkowiczów, „wyciągowców” (nie mylić z narciarzami), kuracjuszy itd. Kim bowiem były

panienki spotykane na Zmarzłej Przełęczy wystrojone w bikini, w obuwiu typu klapki, bez śladów innych ubiorów w pobliżu. A czy setki dzieciarni przepędzane szlakami beskidzkimi to są turyści? Według pokutującego schematu tak, według logiki – nie. Wiele z tych osób staje się turystami. Nabierają doświadczenia, uczą się gór, zaczynają sięgać do przewodników i stają się świadomi niebezpieczeństw wynikających z uprawiania turystyki w górach.

Jakże często w wakacyjnych relacjach prasowych czy telewizyjnych słyszymy o tysiącach turystów, którzy odwiedzili Zakopane, Szczyrk czy Szklarską Porębę. Przecież to nieporozumienie. To, że ludzie ci wyjechali ze swych domów i przybyli do miejscowości górskich, nie oznacza, że są turystami, a nawet to, że chodzą po górach nie jest wystarczające, by ich za turystów uznać. Dlaczego tak się upieram, by ściśle określać ludzi korzystających z uroków gór? Dlatego, by „właściwie dać rzeczy słowo”, by desperatów chodzących po oblodzonej Orlej Perci w trampkach przestano nazywać turystami, by nie używać wyrazu t u r y s t a mówiąc i pisząc o podpiitych młodzieńcach z zimowisk, zamarzających w górach, by nie słyszeć więcej o tym, że turyści coś zdeptali lub zniszczyli.

Nie godzę się z dowartościowywaniem ludzi turystami nie będących, poprzez używanie słowa t u r y s t a. Powinniśmy dbać o jakość turystyki, która wcale nie musi być masowa i nie trzeba już każdego, kto przyjedzie w góry, nazywać turystą, dla poprawienia statystyki. Oczywiście, każdemu wolno chodzić w góry, jest to prywatna sprawa każdego z nas, ale nie powinno się wrzucać wszystkich do jednego worka. Powie ktoś – ale go rozděło, wielki mi turysta, niby jakiś lepszy. A lepszy. Nie życzę sobie porównywania mnie i innych turystów z pospolitymi wandalami niszczącymi znaki, schrony i drogowskazy, upijającymi się na zimowiskach, rozpychającymi się na narciarskich stokach, śmiejącymi wszędzie, gdzie się da. Wystarczy poczytać, co sie pisze, choćby w magazynie „Parki Narodowe”, albo przeanalizować treść artykułu Danuty Nowak „Turyści niszczą przyrodę” zamieszczonego w numerze majowym „Na Szlaku”. Już tytuł świadczy o posługiwaniu się utartym schematem, bezsensownym i krzywdzącym, a niektóre sformułowania są po prostu bzdurne, dowodzące nieznanomości przez autorkę podstawowych pojęć. Dowiadujemy się oto, że turyści nie tylko niszczą przyrodę, ale także odławiają zwierzęta. Wycinanie lasu pod trasy wyciągów i nartostady autorka wiąże z ruchem turystycznym, twierdzi też, że „brak kultury powoduje niszczenie gniazd ptasich, zabieranie do domu rzekomo osieroconych sarenek, czy też zabijanie węży esculapa jako jadowitych żmij”. I to wszystko w artykule o turystach.



W Pustej Dolince. Foto: Jullusz Wyslouch

Potwierdza się zatem zasada, że „co w lesie to grzyb, kto w górach to turysta”. Nie spotkałem się n i g d y z publikacją, w której stwierdzono by, jakich spustoszeń dokonuje w pobliżu obszarów chronionych miejscowa ludność, mówiąca o kłusownictwie, także na obszarach parków narodowych. Kilka lat temu w Tatrach, na jednym z bocznych szlaków, dwie turystki zostały sterroryzowane przez osobnika z bronią palną niosącego upolowaną sarnę. Pewnie ów kłusownik, żeby nie powiedzieć bandyta, to też był turysta. A ciekawie, kto wyczesuje grzebieniami czarne jagody, nie przejmując się granicami parków czy innych obszarów chronionych. To pewnie też turyści – nazbiera taki cały plecak jagód i chodu cichcem do skupu – paskud jeden.

Zastanawiam się, czy w czasie najbliższego pobytu w górach nie wziąć dwóch plecaków – jeden będzie na żółwie i węże, a do drugiego wepchnę jakąś sarenkę. W końcu trzeba kiedyś zasłużyć na miano „turysty”.

Wreszcie parę spostrzeżeń i pytań skierowanych do tych, którzy tak lekko oskarżają nas o wszelkie zło, chamstwo, bezmyślność, zwykły wandalizm, nieświadomość i głupotę. Kim są ludzie spotykani na eksponowanych, oblodzonych szlakach obuci w półbuty, z teczkami w rękach, kto strzelał na początku maja tego roku w okolicach Tajchu i Juszczyńki (na północ od Romanki) z broni palnej, kto wozi służbowymi pojazdami leśnictw i parków narodowych rodziny i znajomych, kto wycina las na obrzeżu Babogórskiego PN, kto pociął na paski masyw Piłska w ramach tzw. „zagospodarowania narciarskiego”, kto chce zamienić karkonoskie schronisko w „restaurację górskie”, kto ogłosił, że w Tatrach powinno jednocześnie jeździć kilkadziesiąt tysięcy narciarzy, kto... itd, itp. Turyści? Czekam na odpowiedź.

Juliusz Wystouch



W drodze na Kozi Wierch

Foto: Henryk Wystouch

Świadomość górskich wypadków w szeregu środowiskach turystów zaczyna funkcjonować tylko wówczas, gdy mówi się o Tatrach. Inne góry traktuje się często z lekceważeniem, a zagrożenia w nich istniejące kwitowane są z pobłażliwym uśmiechem.

W tej niesłusznej tendencji utwierdza, niestety, literatura górska, w której również autorzy tekstów czy całych książek najchętniej sięgają po temat tatrzański.

Finalizuję książkę o Grupie Pod-

halańskiej GOPR (siedziba w Rabce) i dlatego uznałem, że dobrze byłoby co jakiś czas przypomnieć o wypadkach turystów na szlakach karpaccich, jak i ku przestrodze.

O wypadkach górskich

Analizowałem kroniki wypadków w Grupie Podhalańskiej GOPR od lat sześćdziesiątych do końca 1991 r. Grupa Podhalańska działa na rozległym terenie, obejmującym Gorce, Beskid Wyspowy, Pieniny, Pasma Radziejowej Beskidu Sądeckiego, Orawę i Pasma Podhalańskie oraz Pasma Polic Beskidu Żywieckiego.

Przytaczając konkretny wypadek wymieniam tylko miesiąc dla zorientowania czytelnika o porze roku, w jakiej miał miejsce.

W końcu maja, w godzinach popołudniowych (ok. 16.00) posterunek GOPR w Krościenku zawiadomiony został przez Krystynę S. z Krakowa, że jej 9-letni syn Adam poślizgnął się i złamał nogę na Trzech Koronach (982 m) – najwyższym szczycie Pienin Czorsztyńskich. Tego rodzaju wypadków jest na terenie całych Karpat bardzo wiele – nie byłoby więc w tym nic dziwnego i ciekawego, gdyby nie to, co nastąpiło potem. Zgodnie z meldunkiem przekazanym ratownikom ranny chłopiec miał czekać na pomoc pod opieką ojca – 42-letniego Andrzeja S.

Po przybyciu na miejsce wypadku ratownicy GOPR stwierdzili, że Adam S. oprócz złamanej nogi ma jeszcze ranę ciętą na plecach. Okazało się jednak przede wszystkim, że ojciec chwytając syna, który się poślizgnął – stracił niechcący z Trzech Koron plecak, a wraz z nim pieniądze, klucze od auta i wszystkie dokumenty. Wówczas ojciec zostawił rannego

chłopca pod opieką siostry Anny, a sam zaś udał się na poszukiwanie plecaka (spadł on z Trzech Koron w kierunku wschodnim). Po przekazaniu rannego chłopca pogotowiu ratunkowemu, ratownicy ponownie (była już noc) wrócili na Trzy Korony – tym razem w poszukiwaniu jego ojca. Najpierw po założeniu stanowiska zjechali ponad 40 m z wierzchołka Trzech Koron – dość szybko odnajdując plecak. Natomiast poszukiwania Andrzeja S. trwały przez wię-

kszą część nocy. Raczej dość dla niego szczęśliwie i prawdziwie przypadkowo odnaleziono go w lesie w pobliżu zielonego szlaku turystycznego ze Sromowiec Niżnich na Polanę Ligarki – osłabionego, zszokowanego, z licznymi skaleczeniami. W takim stanie, po udzieleniu pierwszej pomocy, przetransportowany został już następnego dnia do Krościenka i wcześniej rano przekazany rodzinie.

Andrzej Matuszczyk



Na Przełęczy Orłowicza w Bieszczadach

Foto: Zygmunt Rakowski



Na szlaku

z Komisją Turystyki Górskiej ZG PTTK

Na otwarciu Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej PTTK

Dwadzieścia cztery lata minęły od czasu, gdy w krakowskim tygodniku „Tempo” Nr 20 z 29 kwietnia 1968 roku ukazał się wywiad z ówczesnym sekretarzem KTG ZG PTTK Władysławem Krygowskim zatytułowany: „W Krakowie powstanie ośrodek turystyki górskiej”. „Cały dorobek turystyki górskiej, jej duży wkład w naszą kulturę nie został zebrany w całość – mówił Krygowski – Mamy ośrodki muzealne na Markowych Szczawinach i w krakowskim Domu Turysty, nie mamy jednak muzeum centralnego. Dalej – nie ma odpowiednich warunków nasza biblioteka górską, redakcja „Wierchów” czy wreszcie sama Komisja Turystyki Górskiej. To wszystko podsunęło naszemu działaczowi – Edwardowi Moskałowi – pomysł stworzenia w Krakowie Ośrodka Turystyki Górskiej. Ośrodek taki chcemy otworzyć właśnie na stulecie turystyki, w roku 1973”.

Dużo wody musiało jeszcze w Wiśle upłynąć, aby doszło wreszcie do otwarcia Ośrodka. Ale też w ciągu ponad dziesięciu lat od rzucenia pomysłu niewiele się działo wokół jego realizacji. Uzyskano wprawdzie przydział, początkowo na jeden (Jagiellońska 6), a następnie na drugi (Jagiellońska 6a) budynek przeznaczony dla Ośrodka, opracowano jego założenia programowe i projekt remontu obu budynków, rozpoczęto zbieranie środków na Fundusz Muzealny Turystyki Górskiej, ale w międzyczasie oba budynki niszczały, a jeden z nich po wykwaterowaniu lokatorów zburzono, gdyż groził katastrofą budowlaną. Pod koniec 1974 roku ówczesny sekretarz generalny PTTK Jacek Węgrzynowicz, nie mogąc doczekać się na nowy budynek, doprowadził do powołania Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej i Narciarskiej PTTK, tworząc go na bazie działu turystyki kwalifikowanej biura ZG PTTK z siedzibą przy Placu Wiosny Ludów 8. Powołanie Ośrodka zapoczątkowało trwające po dziś dzień spory kompetencyjne, zaś Centralny Ośrodek w ciągu swej 18-letniej historii już był dwukrotnie likwidowany (w 1981 i 1991 roku), aby obecnie odrodzić się po raz trzeci, tym razem w formie fundacji. Ale dzieje Ośrodka w jego kolejnych wcieleniach to całkiem osobna historia, którą być może kiedyś (a mam coś na ten temat do powiedzenia jako drugi z kolei spośród pięciu jego dyrektorów) warto byłoby opisać.

Kiedy zimą 1978 roku objąłem funkcję dyrektora COTGiN zorientowałem się szybko, że sprawa Ośrodka nie przedstawia się wesoło. Budynki – jak się już rzekło – niszczały (na miejscu jednego z nich wyrósł już gęszcz chwałostów), przydział był wprawdzie jeszcze ważny, lecz na skutek bezczynności PTTK i starań innych kandydatów na użytkowników mógł być w każdej chwili anulowany. Dzięki przychylności

ówczesnego wiceprezydenta Krakowa, a równocześnie działaczki PTTK Barbary Guzik, decyzja o przydziale została zaktualizowana, zaś Miejskiemu Biuru Projektów zlecono opracowanie dokumentacji projektowo-kosztorysowej. Nadal jednak nie bardzo było wiadomo, skąd wziąć pieniądze na remont.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności podjęto właśnie starania o pchnięcie do przodu sprawy ratowania zabytków starego Krakowa. Sprawa była poważna – zabytkowe centrum Krakowa dosłownie się rozsypywało, brakowało pieniędzy, mocy wykonawczych, a przede wszystkim korzystnego dla sprawy klimatu w ówczesnych władzach. Pomysł utworzenia Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa pod przewodnictwem przewodniczącego Rady Państwa prof. Henryka Jabłońskiego okazał się zbawienny dla starego Krakowa. Dla PTTK zaś jedyną szansą pchnięcia do przodu sprawy budynków Ośrodka stało się wprężenie naszych wysiłków w działania Komitetu. Tak narodziła się idea akcji „PTTK dla Krakowa”. W uchwale plenum ZG PTTK Nr 18/IX/79 z września 1979 r. czytamy: „Zarząd Główny PTTK, podejmując apel działaczy środowiska krakowskiego, uznaje działania na rzecz ochrony zabytków Krakowa za jedno z podstawowych zadań Towarzystwa w najbliższych latach. Działania te, mające charakter ogólnopolskiej akcji pod hasłem „PTTK dla Krakowa”, winny koncentrować się na odnowie i wyposażeniu budynków w centrum Krakowa, przeznaczonych na Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK”. W ślad za tą uchwałą Zarząd Główny PTTK zawarł porozumienie z Prezydentem Krakowa oraz Społecznym Komitetem w sprawie udziału PTTK w działaniu na rzecz ratowania krakowskich zabytków oraz powołuje Sztab Akcji „PTTK dla Krakowa”, lokując jego biuro przy COTGiN. Pierwszym przewodniczącym Sztabu był ówczesny prezes Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Krakowie Marian Kaniewski, po nim – w marcu 1982 roku – objąłem ja tę funkcję. W składzie Sztabu pracowali działacze i pracownicy krakowskich jednostek PTTK, funkcję sekretarza pełniła Cecylia Rudzka, nad finansami czuwała Lucyna Krizan. Patronem całej akcji został ówczesny wiceprezes, a następnie prezes Zarządu Głównego PTTK Andrzej Gordon, którego zasługi dla sprawy doprawdy trudno byłoby przecenić.

Dzisiaj, z perspektywy kilkunastu lat, patrząc na odnowiony w pełnej krasie budynek przy Jagiellońskiej, łatwo zapomnieć o ówczesnych trudnościach i problemach, łatwo również – na fali odcinania się od komunistycznej przeszłości – odciąć się od powiązań z komunistycznym establishmentem i potępić „akcyjną” działalność PTTK. Faktem jest przecież, że Społeczny Komitet

Odnowy Zabytków Krakowa składał się z ówczesnych prominentów życia politycznego i społecznego, faktem jest również, że PTTK w owych latach podejmowało coraz to nowe akcje i patronaty (nad Zamościem, Ujsołami i Bóg jeden wie, nad czym jeszcze). Ale nam tu, w Krakowie, chodziło o to, aby dopiąć upragnionego celu i uzyskać siedzibę dla Centralnego Ośrodka. Gdyby nie pomysł powiązania naszych starań z ogólnopolskimi działaniami na rzecz odnowy starego Krakowa, nie byłoby dziś Centralnego Ośrodka w jego nowej siedzibie. I o tym warto byłoby pamiętać.

Przez kilka najbliższych lat cały ciężar nad tworzeniem siedziby Ośrodka spoczywał na Sztabie „PTTK dla Krakowa”. Pierwsze działania to tworzenie w całym Towarzystwie klimatu poparcia organizacyjnego, moralnego i finansowego dla naszych prac. W całej Polsce kolportowano zielone plakaty z pytaniem: „Czy wzięłeś już udział w akcji „PTTK dla Krakowa?” i rozprowadzono znaczki (o nominale 3 i 6 zł!) na wyodrębniony fundusz. Znaczki te rozprowadzono w oddziałach PTTK przy okazji inkasowania składek członkowskich, w obiektach PTTK jako dobrowolny dodatek do ceny noclegu. Duże wpłaty wnosili przedsiębiorstwa PTTK, głównie Foto-Pamy i OZGT-y (być może nie bez wpływu na to był fakt, że przewodniczącym Sztabu był przewodniczącym Rady Porozumienia Zakładów Foto-Pam, a później dyrektorem jednego z OZGT-ów. Warto odnotować, że pierwsza wpłata (jeszcze przed wydaniem znaczków) wpłynęła na konto „PTTK dla Krakowa” z Zarządu Wojewódzkiego w Zielonej Górze. Z wpłat tych zbierano poważne na owe czasy kwoty, które pozwoliły na pokrycie najniezbędniejszych wydatków. Przez dziewięć lat trwania zbiórki (1980-1989) zgromadzono ponad 40 milionów złotych. Dziś to kwota śmiesznie mała, lecz na początku zbiórki wartość kosztorysowa robót wynosiła 22 miliony złotych. Do czasu przejścia finansowania przez Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa, z funduszu „PTTK dla Krakowa” wydatkowano na materiały budowlane, dokumentację i nadzór inwestorski 28 milionów złotych. Pozostałe środki przeznaczono na zakup wyposażenia dla Ośrodka. Najofiarniejszych sponsorów indywidualnych i zbiorowych honorowaliśmy specjalnymi dyplomami. Warto byłoby, aby ich uwiecznić także w księdze honorowej Centralnego Ośrodka.

Nie byliśmy jednak aż takimi optymistami, aby sądzić, że nawet przy największej ofiarności społecznej uda nam się sfinansować całe przedsięwzięcie ze składek społecznych i funduszy PTTK. W 1980 r. narodził się więc projekt wciągnięcia do współpracy województw górskich. Jako pierwsze pozyskano województwo bielskie, dzięki życzliwości wicewojewody i prezesa

Zarządu Wojewódzkiego PTTK dra Jana Wałacha. Niestety – wśród wielkich spraw, którymi żyło nasze społeczeństwo w 1980 i 1981 roku, sprawa uległa zapomnieniu, czemu zresztą trudno się dziwić. W 1986 roku uzyskaliście skuteczną pomoc województwa nowosądeckiego, gdzie promotorem naszych poczynań był nieoceniony prezes Zarządu Wojewódzkiego i Oddziału „Beskid” – Władysław Stendera. Wkład Sądeczan w nasze przedsięwzięcie wyniósł niebagatelną wówczas sumę 40 milionów złotych. I to było jednak za mało. Stało się oczywiste, że zamierzony cel można będzie osiągnąć jedynie uzyskując możliwość sfinansowania prac z ogólnopolskiego Funduszu Odnowy Zabytków Krakowa. Dzięki staraniom Sztabu i ZG PTTK, po wielu rozmowach z władzami Krakowa i Prezydium Społecznego Komitetu, w roku 1988 udało się taką decyzję uzyskać. Od tej pory mogliśmy pozostałe na koncie „PTTK dla Krakowa” środki przeznaczyć na stopniowy zakup wyposażenia dla Ośrodka. Wartość zaś robót wykonanych na Jagiellońskiej ze środków Funduszu Odnowy Zabytków Krakowa wynosi 5,7 miliarda złotych.

Równocześnie ze staraniami finansowymi podejmowano starania o wyszukanie wykonawcy i rozpoczęcie remontu. W roku 1984 podpisano umowę o inwestorstwie zastępczym z Zarządem Rewaloryzacji Zespołów Zabytkowych Krakowa i ustalono, że wykonawcą robót będzie Krakowskie Przedsiębiorstwo Rewaloryzacji Zabytków. Przez 2 lata trwały starania o wejście wykonawcy na plac budowy. Prace remontowe rozpoczęły się wreszcie na wiosnę 1986 roku od żmudnych trudnych prac nad odtworzeniem zabytkowych piwnic oraz zabezpieczeniem podziemi i fundamentów. W 1988 roku wykonawcy wyszli z piwnic, zaś w rok później stał już w stanie surowym odtworzony w całości główny budynek. Kiedy prace remontowe nabrały rozmachu, a ich końcowy efekt był już możliwy do osadzenia w konkretnym czasie i przestrzeni, stało się jasne, że Sztab „PTTK dla Krakowa” jako zespół społeczny nie podola już sam w doprowadzeniu sprawy do końca. Ponadto głównym zadaniem Sztabu miało być przede wszystkim tworzenie warunków organizacyjnych i finansowych, a nie bezpośrednio prowadzenie prac. W połowie 1990 roku wraca więc na plac boju pomysłodawca całego przedsięwzięcia Edward Moskała, jako pełnomocnik Zarządu Głównego PTTK do spraw centralnego ośrodka. To jego mrówczej pracy i obsesyjnemu wręcz zaangażowaniu zawdzięczamy sprawny i skuteczny przebieg końcowej fazy remontu, urządzenie i zagospodarowanie budynków, zgromadzenie wyposażenia i przeniesienie całego dobytek górskiego z Pl. Wszystkich Świętych na ul. Jagiellońską, a także załatwienie jakże ważnej dla PTTK sprawy wieczystego użytkowania nieruchomości.

Od kilku miesięcy budynki PTTK przy ul. Jagiellońskiej w Krakowie tętnią życiem, mimo że oficjalne otwarcie Ośrodka zaplanowano na wrzesień 1992 roku. Po raz pierwszy w swej historii znalazły tu godne i wygodne pomieszczenia bezcenne zbiory Centralnej Biblioteki Górskiej, zbiory archiwalne i muzealne, zaś nasze Towarzystwo znakomite warunki dla działalności jego agend górskich i narciarskich. W budynkach tych znalazły również miejsce do swej działalności krakowskie ogniska PTTK: Koło Grodzkie, klub przewodników turystyki górskiej i koła przewodniczące. Cwierćwiecze prac i starań zostało wreszcie uwieńczone pięknym efektem. Jest on największą satysfakcją i powodem do dumy tych wszystkim, którzy – w mniejszym lub większym stopniu – dołożyli do nich swoją cegiełkę.

Zbigniew Kresak

Oddział zakładowy PTTK przy Elektrowni „Turów”

Jak pewnie większość zaawansowanych turystów wie, oddział zakładowy PTTK przy Elektrowni „Turów” to prężna jednostka organizacyjna. Działacze w nim zrzeszeni zorganizowali i przeprowadzili wiele liczących się imprez, o bardzo szerokim zasięgu. Ale niewielu potrafi odpowiedzieć na najprostsze nawet pytanie: Kiedy powstał ten oddział?

Ponieważ miałem możliwość przejrzeć dokumenty znajdujące się w biurze Oddziału, chciałbym podać nieco informacji z poprzednich lat. Nie będą one może dość szczegółowe w niektórych przypadkach, ale wynika to z faktu, że dokumentacja nie jest kompletna, a działacze nie wszystko już pamiętają. Myślę jednak, że zebrany przeze mnie materiał jest na tyle obszerny, iż po jego przeczytaniu każdy będzie mógł wyrobić sobie swoją własną opinię o tym zasłużonym ogniwie Towarzystwa.

Początki były bardzo skromne. Założone najpierw koło PTTK skupiało tylko 24 sympatyków turystyki zorganizowanej. W dwa lata później było ich już 65. Wtedy to też utworzono pierwszy w polskiej energetyce Oddział Zakładowy PTTK (24.04.1970). Po dziesięciu latach skupiał on 312 osób będących zwolennikami turystyki górskiej, nizinnej, żeglarskiej, kajakowej, kołarskiej i narciarskiej. Działała także komisja ochrony przyrody. Już w tych pierwszych dziesięciu latach (1966-1976) zaliczyli oni wszystkie pasma górskie w Polsce oraz przebywali na obozach wędrownych w Bułgarii, Czecho-Słowacji i Rumunii. Kajakarze brali udział w spływie po Dunaju. Dzięki takiemu zaangażowaniu Oddział w 1974 r. zdobył pierwsze miejsce we współzawodnictwie zakładowych oddziałów z terenu Dolnego Śląska. Nie było to zresztą jedyne osiągnięcie. Ponieważ jednak wspominałem o tymże roku, muszę się na nim nieco zatrzymać. Był to bowiem rok obfity w liczne jubileusze, między innymi 100-lecie zorganizowanej turystyki w Polsce czy 25-lecie powstania PTTK.

Zacznijmy jednak od składu wybranego w kwietniu Zarządu Oddziału. Prezesem został Henryk Maćkowiak, a wiceprezesami – Roman Giżejowski i Rudolf Knapik, sekretarzem – Barbara Frejtag, skarbnikiem – Jan Bartkowiak. W czasie ich kadencji liczba członków Oddziału zwiększyła się z 214 do 293 osób. Działały wówczas komisje turystyki: górskiej i pieszej (przew. Rudolf Knapik), kajakowej (Jakub Zebzda), żeglarskiej (Jerzy

Jankowski), narciarskiej (Roman Kwiatkowski), kołarskiej (Antoni Drobnik) i ochrony przyrody (Lech Frejtag).

Na kolejnym zjeździe w grudniu 1976 r. wybrano nowy zarząd. Tym razem prezesem został Rudolf Knapik, a wiceprezesami Jakub Zebzda i Jan Kuszewski, zastąpiony po swojej rezygnacji przez Rudolfa Sarnawskiego. Podczas tej kadencji liczba członków doszła do 342 osób. Trzeba przyznać, że bardzo znacząco wzmocniona została wówczas kadra. Zarejestrowanych było aż kilkadziesiąt różnych uprawnień. Mimo to uznano taki stan rzeczy za niewystarczający i dlatego wysłano wielu kolegów na różne kursy. Oprócz licznych imprez turystycznych organizowanych corocznie, Oddział podjął się przeprowadzenia m.in. II Złotu Turystów – Seniorów, którego wielu uczestników urodziło się jeszcze w zeszłym stuleciu. Był też oboz wędrowny w Bieszczadach, umożliwiający jego uczestnikom zdobyć odznaki turystycznej „Szlakami Chwały Ojczyzny”.

W kolejnej kadencji (1980-84) Oddziałowi przewodził ponownie Rudolf Knapik. Niestety, w związku z weryfikacją członków (składki!) okazało się, że ich liczba w tej kadencji zmalała i nie wynosiła nawet 200 osób. Zarówno to, jak i małe zaangażowanie działaczy, doprowadziło do zlikwidowania komisji turystyki narciarskiej i ochrony przyrody.

W grudniu 1984 r. wybrano kolejny raz prezesem Rudolfa Knapika, a wiceprezesami Jana Daleckiego i Henryka Maćkowiaka, który od września 1986 r., to jest od śmierci Knapika, objął obowiązki prezesa. Za tej kadencji przybyło Elektrowni nowe koło (nr 3 – 1.10.1985), zorganizowane przy Energomontażu-Zachód (prezes Krzysztof Tęcza). Mimo to Oddział nie osiągnął stanu 200 członków – zabrakło dwóch. Tym razem likwidacji uległa komisja turystyki kołarskiej, zaś ochrona przyrody została reaktywowana. Poważnym sukcesem w tej kadencji było uzyskanie lokum na biuro Oddziału.

Na początku 1987 r. prezesem Zarządu został Jan Dalecki, a wiceprezesami Kazimierz Bogdół i Henryk Maćkowiak. Sekretarzem wybrano Ewę Rode. W styczniu 1989 r. nastąpiła tylko jedna zmiana: nowym wiceprezesem została Halina Jędrzejczak (za kol. Bogdola).

Aktualnie sytuacja PTTK w Elektrowni „Turów” nie odbiega od tego, co dzieje się w kraju, to znaczy – jest gorzej niż źle.

Krzysztof Tęcza



Turoszów – Kopalnia Turów I. Foto: Archiwum

W dniach 8-10 maja br. odbyła się w Lesku sesja popularnonaukowa "Bojkowie", zorganizowana przez Towarzystwo Karpackie w Warszawie, Bieszczadzki Dom Kultury i Oddział PTTK „Bieszczady” w Lesku. Największą atrakcją tej imprezy była niewątpliwie jednodniowa wycieczka autokarowa w ukraińską część Bieszczadów, na obszar wschodniej Boj-

wstępek folklorystycznego zespołu „Susi-dojky”. Niestety, z jakichś powodów występ ten nie doszedł do skutku. Nie dla wszystkich jednak wieczór ten był stracony. Część uczestników sesji, w towarzystwie Fedora Gocza – znanego lemковского inicjatora zachowania rodzimej kultury i tradycji, zebrała się na wieczorno-nocne lemkowski śpiewanki.

żołnierzy. Okazało się, że oficjalnie polska Straż Graniczna nic nie wiedziała o naszych planach przekraczania granicy w Krościenku. Kolejne blisko dwie godziny oczekiwaliśmy na kompetentne osoby. Odprawa po stronie ukraińskiej odbyła się w znacznie szybszym tempie, zupełnie na luzie. Nastąpiło wręcz zbratanie się z tutejszymi pogranicznikami – opowiada-

NA BOJKOWSZCZYŹNIE

Kilka refleksji z sesji popularnonaukowej "Bojkowie" w Lesku

kowszczyzny. Poniżej przedstawiamy garść refleksji z tej imprezy.

W czasie sesji nocowaliśmy w pięknie odrestaurowanym zamku Kmitów, wzniesionym po 1538 r.

Część oficjalna – referaty i występy artystyczne – odbyła się w budynku Bieszczadzkiego Domu Kultury, odległego od zamku zaledwie o 5 min. Podczas dwóch dni wypełnionych referatami (piątek, niedziela) wysłuchaliśmy 15 odczytów obejmujących swoją problematyką kulturę materialną, społeczną i duchową Bojków, historię i geografę osadnictwa tej grupy etnicznej oraz analizę bojkowskich nazw terenowych.

W pierwszym dniu sesji najbardziej poruszył słuchaczy referat Tadeusza Andrzeja Olszańskiego, znanego entuzjasty i badacza przeszłości Beskidu Niskiego i Bieszczadów. Poświęcony nazwie Bojków, krótki, jędrny i przez to błyskotliwy, wyrwał ze snu niemałą grupkę uczestników sesji odspiających w miękkich fotelach trudy podróży.

Inne piątkowe i niedzielne referaty, mimo ich niewątpliwych walorów merytorycznych, nie były już dla ogółu uczestników tak ekscytujące. Niektóre miały wręcz wybitnie kompilacyjny charakter. Większość odczytów stała jednak na wysokim poziomie, a brak „entuzjastycznego przyjęcia” zawdzięczać mogą tylko zbyt długim czasem swego trwania. Na szczególną uwagę zasłużyły wystąpienia przygotowane przez ukraińskie środowisko naukowe, wnoszące wiele nowych ustaleń w nasz „polski” obieg naukowy i krajoznawczy.

W piątkowy wieczór miał odbyć się

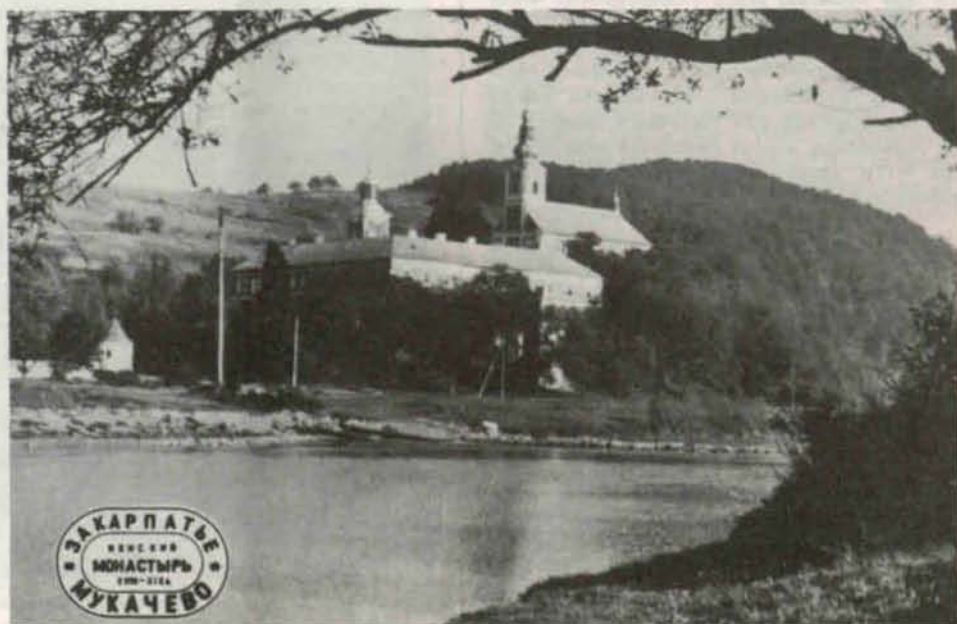
W drugim dniu, około godz. 8.00, dwa zapelnione turystami autokary dotarły do przejścia granicznego w Krościenku. Przejście to, oficjalnie nie mające statusu ogólnodostępnego przejścia granicznego, miało nam zostać w tym dniu wyjątkowo udostępnione. Mieliśmy tylko doń przyjechać. Przyjechaliśmy więc i zastaliśmy... opustoszałą polską strażnicę SG i nie pilnowaną bramę graniczną, zamkniętą na kłódkę i łańcuch. Niepewnie wyciągnęliśmy aparaty fotograficzne, uwieczniając się na jej tle. Ktoś zauważył przejście bokiem za polską bramą i w ciągu kilku sekund wszyscy znaleźli się przed bramą ukraińską (o dziwo – otwartą), niektórzy zastanawiając się, czy nie prosić o azyl.

Po blisko godzinie zwiedzania okolic obu bram, pod granicę zajechała prywatnym samochodem dwójka polskich

no kawały (polityczne również), zwiedzano strażnicę, strzelały migawki aparatów.

Dobrze po południu wyruszyliśmy w trasę. Ponieważ z dnia wycieczki pozostało już niewiele godzin, organizatorzy musieli zrezygnować z kilku punktów programu. Trzeba przyznać, że część uczestników wycieczki okrojeniem programu raczej się nie przejęła – siedząc z tyłu autokaru orzeźwiała się ostro odpowiednimi płynami. Była to jednocześnie najbardziej patriotycznie nastawiona część grupy. Wszędzie widzieli ślady polskości – i w mijanych krajobrazach, i w kołchozowych polach oraz w szerokich tutejszych torach kolejowych.

Na szczęście, zdecydowanie więcej atrakcji mieliśmy w mijanych i zwiedzanych miejscowościach. Kilka minut po opuszczeniu Chyrowa dojechaliśmy do



Starej Soli. Zabudowania miejscowości nie wskazują, że w minionych stuleciach było to znane niemal w całej wschodniej Galicji miasto, sławne z istniejącej tu od XVI w. żupy solnej. Po zamknięciu jej w 1853 r. przez władze austriackie, miasto podupadło.

Spośród uczestników wycieczki wielu było dzisiaj stanem starosolskiego kościoła wstrząśniętych i oburzonych. Naszą dwójkę, uodpornioną przez podobne losy dziesiątków dworów, pałaców i kościołów zastanych na Dolnym Śląsku po II wojnie, poruszyło to chyba w nieco mniejszym stopniu.

W przeciwieństwie do kościoła rzymskokatolickiego, dwie siedemnastowieczne cerkwie znajdują się pod troskliwą opieką miejscowych wiernych. Chyba nawet zbyt troskliwą. W ferworze przystrajania i upiększania świątyni dokładnie obito blachami wszystkie zewnętrzne elementy (ściany, kopuły itp.) cerkwi pw. Zmartwychwstania Pańskiego.

Potem zatrzymaliśmy się dopiero w Busowisku, wsi w dolinie Dniestru, oddalonej nieco na południe od Starego Sambora. Pochodząca z 1780 r. tutejsza cerkiew pw. Świątyni NMP po prostu nas zachwycała. Dostrzec tu można wprawdzie ślady niedawnej konserwacji, jednak te współczesne ingerencje w jej formę są znacznie subtelniejsze i dyskretniejsze niż w Starej Soli.

Również następnym zwiedzany zespół cerkiewny – cerkiew, dzwonnica i cmentarz w Jasienicy Zamkowej, wywarł duże wrażenie. Tutaj główną atrakcją była jednak nie cerkiew, lecz znana z licznych publikacji osiemnastowieczna dzwonnica z kaplicą na piętrze.

Za Jasienicą ożywił się ci uczestnicy wycieczki, dla których największą atrakcją w górach są same góry. Rzeczywiście, krajobraz za oknami autokaru zaczął nabierać górskiego charakteru. Wjeżdżaliśmy na wododział Dniestru i Stryja. Tutaj, jeszcze w zlewni Dniestru, znajduje się niewielka wioska Rozlucz. W ostatnich latach przed II wojną światową była ona największym letniskiem i ośrodkiem narciarskim w powiecie turczańskim. Z powstającej wówczas infrastruktury turystycznej pozostało bardzo niewiele, natomiast zachowała się, a jakże, piękna cerkiewka z 1876 r. i stojąca obok niewielka dzwonnica.

Zbieraczy „połoniców” na pewno zainteresuje znajdujący się w Rozluczu, tuż przy ogrodzeniu cerkwi, żelazny krzyż tkwiący w cementowym cokole, na którego czołowej stronie wyryto inskrypcję *Cześć | poległym | na | polu chwały | Zw.*

Strzelecki. Jeszcze jedno świadectwo tragicznych dla Karpat lat I wojny światowej.

Za Rozluczem droga wspina się na Przełęcz pod Roztycznym (wiodąca równoległe do drogi linia kolejowa Sambor – Turka – Sianki biegnie przebitym pod przełęczą tunelem), z której rozciąga się wspaniały widok na morze szczytów otaczających dolinę górnego Stryja. Na pewno dostrzeżliśmy szczyt Zwierzynca (930 m), na pewno Szymońca (1144 m), innych jednak z okien pędzącego autokaru nie sposób było rozpoznać. Na razie szosa trawersuje wschodnie zbocza Petrykowa (732 m). Możemy dzięki temu oglądać zabudowania Jawowy, najstarszej po Turce miejscowości powiatu, i otaczające ją i jej przysiółki szczyty Kijowiec (785 m) i Zimną Górę (765 m).

Po kilku minutach nowy widok – tym razem na Turkę, otoczoną nie widzianą wcześniej grupą szczytów położonych na wododziale Stryja i Sanu. Również i teraz nie można zorientować map i poznaczanie poszczególnych wierzchołków. Utrudnione jest to tym bardziej, że do Turki autokar zjeżdża malowniczymi serpentynami (kierunki świata stale się więc zmieniają), a ponadto robi się już ciemno.

Z powodu późnej pory miasto zwiedzamy w iście tureckim tempie, tzn. takim, w jakim polscy „turyści” zwiedzają muzea w Stambule. Podchodzimy jedynie do cerkwi pw. Przeniesienia relikwii Św. Mikołaja z 1750 r. Po jej zwiedzeniu niektórzy biegną pod synagogę, aby w ostatnich przeblaskach słońca wykonać jeszcze jakąś fotografię.

Droga powrotna do Leska przebiegała bezstresowo, jeśli nie liczyć dosyć długo trwającego tankowania tanim rublowym paliwem jednego z autokarów oraz dosyć tajemniczych pertraktacji prowadzonych przez naszego kierowcę z jednym z obywateli Chyrowa, po których błakaliśmy się pilotowani przez tegoż człowieka, po różnych ulicach miasta z całą pewnością nie prowadzących do granicy. Wcześniej, jeszcze podczas napełniania zbiorników autokaru, kilku uczestników wycieczki zostało zaproszonych na zaplecze stacji benzynowej i poczęstowanych „horilką”. Polski duet w podzięciu odtńczył stylizowany taniec ukraiński, w takt płynących z radia dźwięków ludowej muzyki. Taniec ten spotkał się z entuzjastycznym odbiorem gospodarzy, krzyczących pod adresem naszych tancerzy „Wy je nasz”

Po powrocie do Leska, już po spóźnionej kolacji, czekała nas jeszcze jedna atrakcja. Tym razem uczta duchowa – występ zespołu regionalnego „Oslawiany”. Występ ten musiał się podobać i oczywiście nie obeszło się bez kilku bisów.

W niedzielę czekały nas kolejne referaty i, niestety, długa podróż do Wrocławia. Do domów wróciliśmy zadowoleni, bogatsi o nową wiedzę o Bojkach i Bojkowszczyźnie.

**Magdalena Chruszcz
Krzysztof Jaworski**

Studenckie Koło
Przewodników Sudeckich – Wrocław



Ikonoostas cerkwi w Komańczy. Foto: Daniel Jałowski

Georgius Tranosci Teschinensis Silesius

Rozbudowany poważnie i słynny z wyrobów rzemiosła cechowego Cieszyn pozostawił Kazimierz II (1477–1528) swojemu wnukowi Wacławowi III Adamowi (1540–1579), wychowanemu na dworze ojczyma Jana z Pernšteina, zwolennika Reformacji. Wacław III Adam objął rządy po śmierci matki Anny z Ansbach w 1539 r. Jemu właśnie przypisuje się usankcjonowanie Reformacji luteranńskiej w księstwie cieszyńskim. W rok przed śmiercią wydał wzorem swoich dolnośląskich krewniaków *Porządek kościelny*, poszerzony w 1584 r. przez księżną wdowę Katarzynę Sydonię (1579–1594). *Porządek* określał: *Postanawiamy, zarządzamy i chcemy, żeby służy Kościoła i szkoły, młodzież i dorosłych z pism biblijnych, prorockich i apostoelskich nauczali, według Konfesji Augsburskiej i pism Lutera i Katechizmu Lutera, ale także Kaznodziejom poleca się, by jak największą uwagę zwrócili na szkoły, pastorowie cieszyńscy razem z burmistrzem i pisarzem miejskim mają szkoły zwiedzać i nadzór nad nimi sprawować.* Wspomnijmy jeszcze, że w miejsce ogrodów dominikańskich powstała wówczas od wschodu „dzielnica” Nowe Miasto. Na przełomie stuleci rządy sprawował przedostatni męski potomek Piastów cieszyńskich Adam Wacław (1594–1617), w pamięci ludzkiej zachowany jako książę przedkładający osobistą karierę nad przekonania swoich poddanych.

W 1590 r. osiadł w Cieszynie mosiężnik i kotlarz Walenty Trzanowski z żoną Jadwigą z domu Zientek. Zamieszkali oni w narożnej kamienicy „starego” rynku, obok browaru, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się restauracja „Targowa”. Dnia 9.04.1592 r. przyszedł na świat pierwszy ich syn – Jerzy. Niewątpliwym wpływ na osobowość Jerzego musiał mieć pradziad Adam, wolny chłop i wojt Trzanowic, do sędziwych lat (a dożył ich 103!), grywający na harfie i wyśpiewujący nabożne pieśni protestanckie. Widać Jerzy robił dobre postępy w cieszyńskiej szkole, skoro rodzice wysłali go na dalszą naukę. Jako trzynastoletni chłopak udał się do Gubina i Kołobrzegu, a stamtąd w 1607 r. trafił na Uniwersytet w Wittenberdze. W akcie immatrykulacyjnym zapisano go jako *Georgius Tranosci Teschinesis Silesius*. Po studiach pracował w charakterze nauczyciela i wychowawcy w Pradze, Trzeboni, Holeszowie, wreszcie w 1615 r. osiadł pod Beskidami w Wałaskim Międzyrzeczu. Tu ożenił się i mógł się poświęcić pracy duszpasterskiej po uzyskaniu ordynacji w Oleśnicy w 1616 r.

Tymczasem coraz bardziej zastrzążały się stosunki pomiędzy katolickimi Habsburgami a protestanckimi stanami czeskiimi. Przegrana bitwa pod Białą Górą w 1620 r. pociągnęła za sobą surowe represje innowierców. Ściągnięci do „pomocy” lisowczycy pozostawili w Między-

rzeczu jak najsmutniejsze wspomnienia. Reszty dokonały regularne wojska w kolejnych przemarszach i epidemia „morowego powietrza”. Tylko w 1624 r. ks. Trzanowski pochował 2000 swoich zborowników, w tym trzy swoje małe latorośle. W rok później musiał opuścić Wałaskie Międzyrzecze. Już drugi raz schronił się w rodzinnym Cieszynie. Znanego kaznodzieję ściągnął do Bielska ówczesny dziedzic Jan Sunnegh, ale gdy i tu wszczęto restrykcje wyznaniowe, w 1629 r. Trzanowski wraz ze swoim opiekunem udał się przez Przeł. Glinne na Orawę. Po trzech latach pobytu na Zamku Orawskim, w 1632 r. został przyjęty w poczet liptowskiego duchowieństwa i objął funkcję proboszcza w Liptowskim Mikulaszu. Złożony przeziębieniem i chorobą, zmarł 29.05.1637 r. i z honorami został pochowany w krypcie kościelnej. Dalsze wypadki spowodowały, że miejsce pochówku zostało zatarte...

Przytoczony biogram można by uznać za typowy opis nie tylko dla „cieszyńskiego Ślązaka”. Wyrosłe z prostej, plebejskiej rodziny dziecko, dzięki poświęceniu rodziców i własną pracą, wybiło się na szczyty ówczesnej hierarchii społecznej. Ale talent został zduszony przez wypadki wojny trzydziestoletniej, które zgłodziły mu los tułacza podejmującego służbę dla bliźnich bez względu na ich język (bo przecież nie narodowość!), to po jednej, to po drugiej stronie Karpat tylko dlatego, że nie chciało i nie umiało wyzbyć się, w przeciwieństwie do księcia, swoich przekonań. Wielu takich wydała ziemia cieszyńska...

Jednak Trzanowski zasłużył na pamięć ze względu na dzieło, które pozostawił, które go przeżyło i któremu nikt z potomnych nie dorównał. Obok innych, Jerzy Trzanowski jest autorem *Trzech ksiąg świętych ód, czyli hymnów*, zbioru 150 pieśni łacińskich opublikowanych w 1629 r. w Brzegu, zbioru modlitw na różne okoliczności *Phiala Odoramentorum* oraz *Cithary sanctorum*. Dzieła te napisane w jęz. czeskim wydrukował w 1635 i 1636 r. Wawrzyniec Brewer w Lewoczy. *Cithara*, złożona z przedmowy i dedykacji, a także wskazówek dla kantora, zawierała teksty i nuty ponad czterystu pieśni, z czego 93 były autorstwa Trzanowskiego. Śpiewnik coraz wzbogacaony, doczekał do 1932 r. stu pięćdziesięciu wydań! Dziesiątki pieśni Trzanowskiego pomieszczone są w nowszych śpiewnikach kościelnych innych autorów. W tym miejscu warto przypomnieć, że obok polskiej Biblii i *Postylli* Samuela Dambrowskiego (1577–1625) *Cithara* Trzanowskiego znajdowała się prawie że w każdym ewangelickim domu i przez trzy stulecia wzbogacała życie duchowe cieszyńskich protestantów. Najdłużej, bo do 1922 r., śpiewano z *Cithary* na nabożeństwach w Wisle. Jerzy Trzanowski jest niewątpliwie największym ewangelickim pieśniarzem wśród Słowian, wydatnie wzbogacił wybór pieśni nabożnych i przyczynił się do upowszechniania śpiewu nie tylko w kościołach. Tragiczne przeżycia, ale przede wszystkim głęboka wiara i talent Trzanowskiego sprawiły, że jego pieśni jeszcze dziś są aktualne i chętnie śpiewane w ewangelickich kościołach na Słowacji, w Czechach i w Polsce. Nie darmo mówi się na ziemi cieszyńskiej: *gdo śpiwyo, to jakby rzykoł* (modlił się).



Geo. Tranosci



Zamkowe opowieści (8)

Dzisiejsza Bielawa należy do średnich miast województwa wałbrzyskiego. Pewnego razu w jednym z jej schludnych domów, stojących przy zacisznej ulicy Lotniczej, na skraju rozłożonego dwuosobowego tapczanu siedziała babcia Zofia P. i usypiała kochanego wnusia, opowiadając mu przyciszonym głosem już trzecią z kolei bajkę.

– Dawno, dawno temu, za Sowimi Górami, za kilkoma grzbietami, za licznymi rzeczkami, w gęstym, ciemnym lesie, na skalistym wzgórzu stał sobie piękny zamek Radosno, a w nim same dziwy...

przekształcił się na długie lata w siedzibę niecnym rycerzy rozbójników. Nic więc dziwnego, że w 1497 roku specjalna wojskowa wyprawa mieszczan, głównie bodaj wrocławskich, zniszczyła to zbójcekie gniazdo.

Później Radosna już nigdy nie odbudowano. A do naszych dni pozostały po nim tylko ledwo widoczne, porośnięte lasem i chaszczami ruiny, z kryjącą się pośród wysokich drzew pokaźną wieżą.

Julian Janczak

„Dziwy” zamku Radosno

– Babciu, ty się pomyliłaś, to pewnie nie był zamek, tylko burdel – sprostował rezolutny wnuczek, z trudem otwierając klejące się oczka.

x x x

Średniowieczny zamek Radosno znajdował się na granicznym odludziu, wśród porośniętych gęstymi kniejami Gór Suchych, na trudno dostępnej, stromej, skalistej północnej krawędzi wyniosłej Suchawy (928 metrów npm). Tę niedużą, wzniesioną z łupanego kamienia, warownie prawdopodobnie kazał postawić książę świdnicki Bolko I. Powstała ona bowiem gdzieś pod koniec XIII stulecia.

Zbudowany na regularnym planie (30 x 15 metrów), z dość masywną okrągłą wieżą, strażniczy zameczek strzegł bezpieczeństwa publicznego na południowej rubieży księstwa, od strony niezwykle agresywnych wtedy Czech. Jednocześnie skutecznie blokował on od zachodu możliwość skrytego podejścia wąską doliną na ważną Przełęcz Trzech Dolin.

W 1392 roku zmarła księżna Agnieszka, żona ostatniego Piasta z linii świdnicko-jaworskiej, Bolka II. Teraz na mocy wcześniej zawartych umów w pełni dotąd suwerenne księstwo świdnicko-jaworskie przeszło pod władzę królów czeskich. Oczywiście, wraz z nim taki sam los spotkał i zamek, i cały klucz majątkowy Radosno.

Ale niestety, według niezupełnie pewnych przekazów, zameczek – jak to często w średniowieczu bywało –



Ruiny Radosna

O szlakach Gór Opawskich

Przed wiekami okrywała góry zwane Jesionowymi nieprzebrana knieja. Stary szlak handlowy wiodł już w XIII w. z Prudnika do Nysy – zresztą wtedy w tym przygranicznym obszarze można już było swobodnie podróżować, bo nie przeszkadzała tak bardzo słynna Przesieka. Wtedy też ludzie trafili do samych gór. Byli to albo osadnicy nowo zakładanych wsi (np. Jarnołówkę w 1268 r.) albo też „złoci górnicy” penetrujący bezdroża w poszukiwaniach tego cennego kruszcu. Ale o wchodzeniu na szczyty jeszcze wtedy nie myślano, bo taki śmiełek, jeśli nie został rozszarpany przez niedźwiedzia, to mógł stracić głowę za sprawą jednego z osiadłych na stokach rozbójników. Kto wie, czy oni, zwąszy siebie ryccerzami, nie byli pierwszymi zdobywcami szczytów? To przecież ich zamki stały na Górze Zamkowej, a według legend też opodal schroniska „Pod Kopą” (przy czerwonym szlaku Biskupia Kopa – Jarnołówka). Ale czas płynął – upadało górnictwo, rozsypywały się ruiny zbojeckich gniazd. Z upływem wieków góry zaczęły interesować ludzi nie tylko jako źródło kruszcu czy ostoję zwierzyny, lecz ich zdobywanie zaczęło być celem samym w sobie. I tu Sudety mają chlubną, bodaj czy nie najchlubniejszą tradycję na świecie. Oczywiście, wprawdzie zaczęła „przyciągać” Śnieżka (1602 m), której łysa czoła widać było czasami z Wrocławia. Już w XVII w. była górą licznie odwiedzaną, co jest chyba ewenementem światowym!

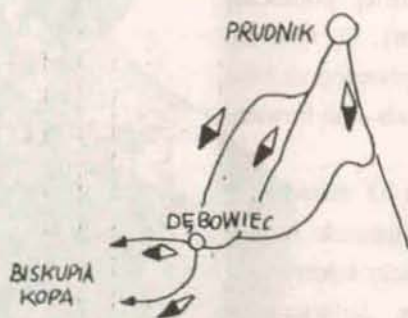
Ale przyszła kolej i na niższe góry. Oto w 1797 r. zjawia się na Biskupiej Kopie pierwszy znany z nazwiska turysta. Był nim radca prawny kamery królewskiej Prus Wschodnich – Theodor von Schön, późniejszy nadprezydent Prus Wschodnich i Zachodnich, minister stanu i burgrabia Malborka. Co ciekawe – wchodzi na szczyt na własnych nogach, a nie np. w lektyce, jak to bywało w Karkonoszach, czy też na koniu. Pana radcę z pewnością sprowadziła na szczyt sława pięknego widoku. I nie zawiodł się: ze szczytu zobaczył bowiem, oprócz Jesioników, Prudnik, Nysę, a nawet Jawornik (dziś w Czechosłowacji) i Głubczyce. Zauważył, iż ludność nie była przyzwyczajona do „wyskikiwania” turystów, bo chyba jeszcze wtedy w tych okolicach turystów nie znano. Theodor von Schön wszedł na szczyt oczywiście z miejscowym przewodnikiem, który za swą usługę nie chciał 8 groszy zapłaty twierdząc, że to za dużo. Po nasyceniu się widokiem, pierwszy turysta zszedł do Jarnołówki, a potem do Złotych Hor, chwalać grzeczną straż graniczną – aby nasycić się „fizycznie” knedlami z boczkiem wędzonym i piwem.

Następnego turystę ściągnęła Biskupia Kopa dopiero dwadzieścia pięć lat później. Był to anonimowy kuracjusz z podprudnickiej Trzebiny. On także zachwycał się pięknymi krajobrazami. Właśnie dla tych turystów stanęła chyba już w 1 poł. XIX w. na Biskupiej Kopie drewniana wieża widokowa. Ale szlaków nadal nie było! Co prawda, w Karkonoszach już od dawna ustawiano tyczki przy drogach do bud pasterskich, ale w Górach Opawskich musiał wystarczyć przewodnik-góral lub też własna intuicja turystyczna. I właśnie powoli wielu ludzi zaczyna chodzić samemu. Ówczesny turysta, odziany bardzo podobnie do dzisiejszego, niósł w plecaku, czy też może w tornistrze, oprócz zapasowych skarpetek, prowiantu na drogę, środki opatrunkowe i przeciw pęcherzom (wtedy też pamiętano o apteczce!), czasem płaszcz – „patatkę”, w którym mógł zdrzemnąć się pod świerkiem, gdy noc zastała go w

drodze. Pewnie po takiej nocy, w nie najlepszym humorze, klnąc na niedokładne mapy, postanowił założyć wraz z kolegami organizację turystyczną, która by umożliwiła zarówno gośdziwemu nocleg pod dachem, jak i bezpieczną wędrowkę po górach. Powstawały więc różne organizacje górskie.

Góry Opawskie znalazły się na obszarze działalności Morawsko-Śląskiego Sudeckiego Towarzystwa Górskiego (S.G.V.), które powstało w 1881 lub 1882 r. po południowej stronie granicy – w Jesioniku. Jego filia działała też m.in. w Prudniku. Zaczęto więc spełniać oczekiwania turystów.

Wprawdzie przy ważniejszych rozdroczach ustawiono drogowaskazy – o których wspomina przewodnik z 1890 r., że istniały na drodze z Głucholazów na Przednią Kopę (do stojącej tam już od 1884 r. wieży widokowej). Jednak chyba były to nietrwałe drewniane tabliczki, bo kamienne drogowaskazy, o ile by istniały, zachowałyby się chyba do dziś (jak np. opodal Szczelińca). Później, a może w tym samym czasie, powstały w Górach Opawskich pierwsze znakowane szlaki. Kto i gdzie zaznaczył pierwszy znak, pozostaje dla mnie tajemnicą. Nie znam też roku powstania pierwszych szlaków. Jedno jest pewne – sposób znakowania „przyszedł” od strony Karkonoszy. Było to tzw. oznakowanie docelowe. Zdziwiłby się turysta, gdyby zobaczył znak! Poza tym, że był on, jak i dzisiaj, malowany farbą (często drogiego gatunku) na drzewach, kamieniach itp., niewiele przypominał dzisiejszy znak. Były to dwa trójkąty równoboczne, połączone bokami ze sobą, tak że tworzyły „leżący romb”. Oczywiście, kolory trójkątów były takie, jakie są i dzisiaj spotykane, lecz rzadko zdarzało się, by oba trójkąty były tego samego koloru. Przeczyło to bowiem jednej z głównych zasad znakowania – KAŻDEMU CELOWI przypisywano inny kolor. Do tego, drogi wiodące na główny szczyt znaczone przeważnie białym trójkątem, ale nie „trzymano się” tego w Górach Opawskich. Zasada „każdy cel ma jeden kolor” powodowała dość mylne sytuacje, jak np. w okolicach Prudnika:



Szlak wiodący więc do tego samego celu, ale różnymi drogami, był identycznie oznakowany. A więc, mniej doświadczony turysta mógł się zgubić bez przewodnika lub mapy.

Tak wyglądały ogólne zasady znakowania. Ale gdzie biegły pierwsze szlaki w Górach Opawskich? Czy pierwsze? Chyba tak! Były więc dwa warianty dojścia na Biskupią Kopę, przy czym czarny kolor oznaczał jej szczyt: Głucholazy – Jarnołówka – Kapł. Sw. Antoniego (w Czechosłowacji, wówczas w Austrii) – Biskupia Kopa – żółto-czarny i Pokrzywna (Gospoda w Centrowie) – Kamieniołom „Gwarkowa Perć” – Leśniczówka „Annahof” – Przełęcz pod Kopą – Janów – czer-

wono-czarny. Ten drugi szlak przechodził przez puszczałnie też przez szczyt Srebrnej Kopy, na której stało już wtedy kamienne schronisko z wieżą. W 1893 r. zbudowano pierwsze na Biskupiej Kopie schronisko, czy raczej gospodę (w reklamach właściciel zwał ją hotelem!), zwane Rudolfówką od nazwiska właściciela. Powstawały też nowe szlaki znakowane, a szczególnie w zapomnianych dzisiaj przez turystów okolicach Prudnika. I tak, biało-czerwony wiodł już około 1900 r. w kilku wariantach od parku w Prudniku („wyróżniającego się” wówczas olbrzymim obeliskiem na cześć królów pruskich i Bismarcka) do Dębowca – cichej, zagubionej w lasach pod Długotą (449 m) wioski. Turysty mogli tam dojść obok Góry Kaplicznej (z klasztorem – sanktuarium, po którym dziś nie ma prawie śladu), Okopowej (388 m – z postawioną potem wieżą widokową i restauracją) i Kobylicy (392 m – z pomnikiem Josepha von Eichendorfa). Inny wariant wiodł obok klasztoru oo. Franciszkanów w tzw. Lesie, a spragnieni szerszych widoków wędrowali szosą poprzez Chocim. W Dębowcu czekała gospoda i kilka innych szlaków, m.in. do Trzebiny oraz do Nowej Wsi przez Długotą (449 m), a dalej do Pokrzywnej lub na Biskupią przez Srebrną Kopę (785 m).

Zupełnie oddzielny szlak zielono-czerwony prowadził z głucholaskiego Zdroju poprzez całą Górę Parkową i Podlesie do miejscowości Rejviz, już w ówczesnej Austrii. Co ciekawe – wtedy turysta mógł bez jakichkolwiek papierów w dowolnym miejscu przekraczać granicę.

Przyszła I wojna światowa, opustoszały szlaki i... zniknęła część starych schronisk. Po wojnie, gdy w nowo powstałej Czechosłowacji niechętnie widziani byli goście z Niemiec, musiano przesunąć niektóre szlaki. I tak powstał szlak z Pokrzywnej obok chatki zwanej Püchlerbaude i dalej do doliny Bystrego Potoku, skąd był oddzielny szlak na Biskupią Kopę. Zbudowali też Niemcy swoje własne schronisko pod Kopą, zwane „Chatą Górnośląską”, zresztą w „czynnie społecznym” rękami przygodnych turystów, którzy nosili potrzebne materiały czy niwelowali teren. Było to w 1923 r., lecz już w 1926 r. mała chatka nie mieściła chętnych. W latach 1926-27 zbudowano więc schronisko, które w zasadzie przetrwało do dziś.

A jak wtedy chodzili turyści? Też jak dziś, aby „pospacerować” w okolicach Prudnika, czy też posmakować piwa i potraw serwowanych w schronisku? A było tam gdzie zjeść – bo dla turystów oprócz dwu sal jadalnych ustawiono też „stoły pod chmurką”. Chyba też wtedy pojawił się brzydko (?) zwyczaj chodzenia w góry w... marynarce i krawacie (!), choć byli też prawdziwi turyści, w podkutek buciorach, pumpach, kapelusiku i z fajeczką w zębach, ale... z kijem w ręce. Podpierając się kijami schodzono do Pokrzywnej, gdzie przy przystanku autobusowym tworzyły się istne góry ze składanych kijów. Autobusami, a także i samochodami, zaczęli przybywać nowi turyści – spragnieni nie tyle wędrowek, ile odpoczynku nad wodą w Pokrzywnej. Auta, w końcu XIX w. cud techniki, były w latach trzydziestych już tak popularne, że w letnie niedziele zdarzały się w Pokrzywnej korki samochodowe! Szaleńcy próbowali nawet wjeżdżać na szczyt Biskupiej Kopy, lecz skrytykowali ich miłośnicy przyrody: *Niechaj góry pozostaną ostoją rozkoszy dla tych, co na własnych nogach, jako narzędzia natury, wspinają się na ich szczyty.* Tak było latem. A zimą? Od lat dwudziestych, a nawet jeszcze wcześniej, z gór jeździły cudaczne postacie, w dziwnych strojach, na

Szlaki turystyczne w Karpatach Polskich (4)

Przebieg szlaku	Oddział znakujący	Czas przejścia (godz./min.)	Pkt do GOT	Ilość km	Suma różnicy wznies. (m)	Turystyka narciarska
Szlaki turystyczne w kolorze zielonym (cd):						
Czarniawa Sucha – Przel. Klekociny – – Mędralowa	Sucha Bes.	1.45 – 1.45	8/6	4,8	434	
Mędralowa – Przel. Jałowicka – Babia Góra	*	3.30 – 2.45	17/12	9,0	946	
Zawoja Widły – Markowa Rówienki – – Markowe Szczawiny	*	2.15 – 1.30	13/7	7,0	600	
Mokry Stawek – Sokolica	*	0.45 – 0.30	8/3	1,5	327	
Zawoja Centrum – Spalenica – Hala Krupowa	*	3.30 – 2.30	15/10	12,5	690	
Sidzina Dąb – Hala Krupowa	*	3.00 – 2.15	14/9	7,0	650	
Osielec – Cupel	*	1.45 – 1.15	10/5	5,0	467	
Szlaki turystyczne w kolorze żółtym:						
Rycerka Górna Kolonia – Wielka Racza	Żywiec	2.00 – 1.30	10/5	7,0	556	
Rycerzowa – Sobłówka	*	1.30 – 1.45	4/10	5,5	550	
Sobłówka – Krawców Wierch – Trzy Kopce	*	6.00 – 5.00	27/21	19,0	1120	
Romanka – Hala Rysianka – Hala Lipowska	*	1.15 – 1.45	4/6	5,0	318	N
Hala Lipowska – Hala Redykałna – Rajcza	*	3.15 – 4.00	11/19	13,5	824	równ. narciarska
Juszczyna – Przybór – Juszczynka	*	2.00 – 1.30	11/7	7,5	465	N
Sopotnia Wlk. – Przel. Przysłopy – Korbiełów	*	1.30 – 1.30	8/8	5,0	489	
Korbiełów – Hala Miziowa – Pilsko	*	2.30 – 2.00	16/7	7,0	957	
Żywiec – Rynek – Grojec – Żywiec Browar	*	2.15 – 2.00	9/9	6,5	514	
Swinna – Moczarki nad Przylekowem	*	2.30 – 2.00	10/6	8,2	410	N
Korbiełów – Przel. pod Beskidem Krzywoskim	*	1.30 – 1.15	6/3	4,5	350	
Korbiełów – Przyborówka – Przyborów	*	2.15 – 2.30	11/12	9,0	690	
Koszarawa – Lachów – Groń – Czarniawa Sucha	*	2.15 – 2.00	12/6	6,5	658	N
Czarniawa Sucha – Jałowiec – Przel. Przysłop	*	2.45 – 3.00	13/10	9,0	780	N
Zawoja Widły – Czatoża – Markowe Szczaw. Markowe Szczawiny – Akademicka Perć – – Babia Góra	Sucha Bes.	3.00 – 2.30	16/10	10,0	600	
		1.30 – 1.00	9/3	3,7	545	
Zawoja – Mesorny Groń – Hala Śmietanowa	*	2.15 – 1.45	12/5	6,0	630	równ. narciarska
Juszczyn – Jawor – Hala Krupowa	*	4.30 – 3.30	18/11	12,5	1080	

długasnych nartach i z wielkimi kijami. Mieli do tego dobre drogi, a nawet „osią łączkę” koło leśniczówki „Annahof”. Na nartach skakali też miłośnicy tego sportu – na skoczni w dolinie Bystrego Potoku.

I tak nastąpiła II wojna światowa. Początkowo stworzyło to turystom niemieckim dogodne warunki, już od 1938 r. po aneksji Czechosłowacji, lecz w miarę, jak słabła siła „tysięcletniej Trzeciej Rzeszy”, rzędziły też szereg turystów.

Wiosną 1945 r. zastała góry opuszczone, zdemolowano też schronisko. Mimo iż w pierwszych latach po powrocie do Polski było wiele innych, ważnych spraw do załatwienia, zadbano także o los turystów, bardzo wtedy jeszcze rzadkich. Mieczysław Orłowicz, który w 1946 r. przeszedł Sudety, opisuje schronisko „Pod Kopą” jako miłe i czyste, a prowadzone przez Oddział Górnośląski PTT w Katowicach. Owi turyści wędrowali jeszcze starymi niemieckimi znakami – przynajmniej nie mi nie wiadomo o nowych szlakach. Lecz oto nastąpiły ponure lata stalinizmu i góry opustoszały. Tym razem – z powodu zakazu poruszania się w strefie przygranicznej. W przewodniku z 1953 r. schronisko „Pod Kopą” jest opisane jako zdewastowane, a szlaki – były to reszki ponemieckie, z Prudnika do Pokrzywnej i na Kopę. Minęło znów kilka lat, i w 1956 r. zjawili się na Kopie Erwin Mecha. Ten miłośnik Gór Opawskich (był tam już w 1924 r.) postanowił przy udziale Bazy Ciężkiego Sprzętu Budowlanego ze Świętochłowic odbudować schronisko. Gdy po prawie rocznej ciężkiej pracy ukończono dzieło, E. Mecha został kierownikiem i zorientował się, że turystów brak dlatego, że są przyzwyczajeni do chodzenia po znakowanych szlakach Beskidów. W 1957 r. wyznakował więc pierwsze szlaki, na których opiera się i obecnie system szlaków w Górach Opawskich. Jak zauważyłem, wzorował się częściowo na przebiegu dawnych szlaków niemieckich, lecz oczywiście, szlaki były wyznaczane „normalnym” sposobem, jaki stosuje się dziś, a który powstał w Tatrach jeszcze w XIX w. Były to:

– czerwony szlak: Prudnik – Dębowiec – Długota – Nowa Wieś – Pokrzywna – Srebrna Kopa – Biskupia Kopa – Jarnołtówek – G. Parkowa – Głucholazy

– żółty: Pokrzywna – Przel. pod Zamkową Górą – Przel. pod Kopą – Schronisko – zielony: Pokrzywna – Dolina Bystrego Potoku – Leśniczówka „Na Anusi” – Schronisko

– czarny: Pokrzywna – Perskie Oczko.

Ponadto wyznakował też szlaki narciarskie z Kopy do Pokrzywnej Złodzijską Ścieżką i przez dolinę Bystrego Potoku oraz do Jarnołtówka. Potem szlaki przejęły w opiekę Oddziały PTTK w Prudniku i Głucholazach. Gdzieś około 1965 r. wyznakowano szlak niebieski z Pokrzywnej przez Olszak i Morskie Oczko do Jarnołtówka. Potem powstały dwa szlaki okrężne na Górze Parkowej w Głucholazach: niebieski i żółty. Także w latach siedemdziesiątych wyznakowano drugą część szlaku niebieskiego z Pokrzywnej przez G. Bukową do Jarnołtówka. Szlaki te przechodziły trudne do opisanie zmiany (nie znalazłem dat zmian i poszczególnych przebiegów szlaków). Na początku lat osiemdziesiątych powstał szlak żółty z Jarnołtówka na Kopę. Najbardziej zmienił przebieg szlaku czerwonego Jarnołtówek – Biskupia Kopa. Ostatnich zmian dokonano chyba około 1985-87 r. w związku z tworzeniem Parku Krajobrazowego. Zmieniono wtedy przebieg szlaku zielonego i przeznaczono go na Ścieżkę Przyrodniczą. Poprowadzono też ciekawszym terenem szlak niebieski (przez Skalki Karliki) i żółty (przez Górę Bukową). Zmieniono przebiegi szlaków okrężnych w Głucholazach (niebieski trafił na Drogę Krzyżową, a żółty na Przednią Kopę) i po raz kolejny czerwonego szlaku do Jarnołtówka (najkrótszym z możliwych wariantów – bardzo stromo). Ostatnie ze zmian szlaków dokonały się już „na moich oczach” (Góry Opawskie znam od

1989 r.), kiedy to ktoś niechlujnie wyznakował ścieżki przyrodnicze z Jarnołtówka do Morskiego Oczka i Rozdroża Pod Piekietkiem (po trasie szlaku niebieskiego) i na Górze Parkowej (po trasie szlaku żółtego). Było to wiosną 1991 r. Obecnie szlaki Gór Opawskich liczą ok. 73 km (zageszczenie jedno z największych w Sudetach i w ogóle w Polsce) i, mam nadzieję, wreszcie „ustalą się” na dłuższy czas, jak to jest np. w Tatrach. Jeśli ktoś znał dokładnie zmiany szlaków po wojnie, to proszę o informację.

Marek Sitko

TURYSTYKA GÓR OPAWSKICH – pytania

Nasz Czytelnik, Marek Sitko, z podziwu godnym zapałem chce zgłębić całą wiedzę turystyczną i krajoznawczą o tym małym, ale arcyciekawym fragmencie Sudetów. Oto stara się dowiedzieć m.in., jak przebiegały dawniej szlaki turystyczne po tym regionie. Apelujemy więc do wszystkich, którzy coś na ten temat mogą wiedzieć, by podzielili się z nami tymi wiadomościami. Stawiamy więc pytania:

1. Jak zmienił się przebieg szlaków znakowanych po 1945 r., kto i kiedy dokonywał ich zmian?
2. Kto doprowadził do dewastacji schr. PTTK „Pod Kopą” przed 1956 r. (było ono czynne już w 1948 r. jako schronisko Oddziału Górnośląskiego PTT w Katowicach)? Jak przedstawiała się jego historia po 1945 r.?
3. Jaka jest historia Domu Wycieczkowego PTTK w Pokrzywnej i sąsiednich domków kempingowych?
4. Czy istniały na tym terenie znakowane szlaki narciarskie (pozostałości zn. żółto-czerwonych są obok szlaku czerwonego Biskupia Kopa – Jarnołtówek)?
5. Czy planuje się jakieś zmiany w sieci szlaków Gór Opawskich?

Prosimy o listy. Ciekawsze z nich wydrukujemy.

Redakcja

Przebieg szlaku	Oddział znakujący	Czas przejścia (godz./min.)	Pkt do GOT	Ilość km	Suma różnicy wznies. (m)	Turystyka narciarska
Szlaki turystyczne w kolorze czarnym:						
Zwardoń – Osiedle Mały Rachowiec	Żywiec	0.30 – 0.30	4/2	2,2	80	N
Sól – Rycerka Dolna – Parszywka – Przeł. pod Babią	*	4.00 – 3.30	20/15	13,8	1322	
Soblówka – Rycerzowa – Przeł. Halna	*	2.00 – 1.30	10/4	5,0	510	
Ujsoły – Przeł. pod Kiczorą (784 m)	*	1.00 – 0.45	4/3	3,0	190	N
Złatna Huta – Hala Rysianka	*	1.45 – 1.15	7/2	6,0	570	N
Zabnica Skalka – Hala Boracza	*	1.00 – 0.45	6/3	3,0	274	
Zabnica Skalka – Słowianka skrzyżowanie	*	1.00 – 0.45	6/3	3,2	190	
Hala Cukiernica Wyż. – Hala Redykalna	*	0.45 – 0.30	4/2	2,0	150	
Sopotnia Wielka – Mała Romanka	*	1.45 – 1.15	11/4	4,0	536	
Przeł. pod Buczynką – Przeł. Przysłopy – Krzyżowa	*	2.15 – 2.30	4/8	7,5	530	
Hala Miziowa – Pilsko	*	0.30 – 0.20	4/2	1,3	202	równ. trasa zjazd.
Korbielów – Moczarki – Hala Kamińskiego	*	5.00 – 4.45	22/16	21,0	1350	
Hala Kamińskiego – Czatoża	Sucha Bes.	1.00 – 1.15	3/8	3,0	350	
Zawoja „Lajkonik” – Sulowa Cyrla – Markowe Szczawiny	*	2.15 – 1.45	13/7	7,5	530	równ. narciostada
Sucha Beskidzka – dol. Zasypnicy – stoki Magurki – Przeł. Przysłop	*	2.00 – 1.30	11/6	7,0	485	
Sidzina Wielka Polana – Hala Krupowa	Rabka	1.15 – 1.00	9/5	3,3	432	

III. PASMO PODHALAŃSKIE I ORAWA

Zasięg terytorialny: Babia Góra-grzbiet przez Sokolicę na Przełęcz Krowiarki – szosą w stronę Zubrzyicy Górnej – Zubrzyca Górna – Zimna Dziura – Przełęcz Zubrzycka – dolina potoku Sidzina przez Sidzinę od Bystrej Podhalańskiej i doliny Skawy. Dalej linią kolejową „zakopiańską” przez Chabówkę, Rabę Wyżną i Przełęcz Sieniawską do Nowego Targu. Stąd szosą przez Czarny Dunajec do Jabłonki Orawskiej i przejścia granicznego z CSRF w Chyżnem. Z Chyżnego wzdłuż granicy państwa z CSRF aż do szczytu Babiej Góry.

Mapy turystyczne, z których można korzystać w wędrówkach po Paśmie Podhalańskim i na Orawie:

- „Beskid Makowski (Beskid Średni)” 1:75 000;
- „Okolice Krakowa” 1:200 000.

Zabytkowe słupki graniczne

Obiekty klasztoru krzeszowskiego są dość powszechnie znane, ale te w obrębie murów ogrodzeniowych. Inaczej sprawa się ma z obiektami znajdującymi się odeń w znacznej odległości, a zwłaszcza z tymi o niewielkich wymiarach.

Dnia 9 sierpnia br. minęło siedemset lat od przybycia do klasztoru w Krzeszowie pierwszych cystersów z Henrykowa. Ponad pięćsetletnia (do 1818 r.) ich gospodarka na rozległym terenie pozostawiła wyraźne ślady, często dziś na nowo odkrywane. Wskażmy na niektóre z nich.

Kilkanaście metrów za bramą prowadzącą na dziedzińce klasztorne, po prawej stronie, pod drzewem stoi ociosany kamień z piaskowca. Wryty na nim mitrę opacką i pastorał, wyżej litery I A G. Niżej, tuż nad ziemią widnieje data 1727. Jest to słup graniczny posiadłości

cysterskich, należący do obiektów mniej znanych. Dziś jest ich niewielka liczba i znajdują się one w znacznie oddalonych, tylko w niewielkiej liczbie, w miejscu swego pierwotnego ustawienia, tj. na granicy dawnych posiadłości cysterskich.

Obok słupków cysterskich na granicy, dzisiaj państwowej, znajdowały się słupki jezuickie, niestety, zupełnie wyniszczone. Dopiero po wojnach śląskich w XVIII w. zdecydowanie wyznaczono granicę między Prusami i Austrią. Do XVII w. posiadłości cysterskie graniczyły na południu z posiadłościami czeskiej bogatej hrabiny Magdaleny Tročkowej z Lobkovic. Był to Żacléf z okolicznymi dobrami. Od 1633 r. dobra dziedziczył jej syn, Adam Erdman Tročka, szwagier Wallensteina i wyższy dowódca jego wojsk. Wallenstein – główny dowódca wojsk cesarskich w wojnie trzydziestoletniej, po sukcesach na Śląsku, okrzyk chwałą spiskował przeciwko swemu ce-



Słupek cysterski. Repr.: Zygmunt Sarnecki

sarzowi Ferdynandowi, marząc o koronie czeskiej. Po wykryciu spisku, wraz z Wallensteinem stracono w Chebie (25.02.1654 r.) także hr. Trockę. Jego posiadłość, po skonfiskowaniu, cesarz Ferdynand przekazał jezuitom z Wiednia. Od tegoż więc czasu posiadłość cystersów krzeszowskich graniczyła z nowo uzyskanymi przez jezuitów posiadłościami żaclerskimi. Granica ta w 1727 r. została wyraźnie oznaczona za pomocą słupków obydwu zakonów.

W tym samym roku opat Innocenty przeprowadził inwentaryzację posiadłości, co stało się z pewnością nie jedynym pretekstem wyznakowania granic w tak trwały sposób. Koniec XVII i początek XVIII w. to okres największej koniunktury klasztoru. To okres powstania najwspanialszych budowli, to wreszcie od 1727 r. okres rządów przez siedem lat jednego z najwybitniejszych opatów krzeszowskiego konwentu – O. Innocentego Fritscha.

Słupki z pewnością ustawione były wokół dóbr klasztornych. Po sekularyzacji klasztoru w 1810 r. stopniowo ulegały zniszczeniu, tracąc swoje znaczenie praktyczne. Przetrwały jedynie na granicy państwowej, służąc nowym celom. Dziś znaleźć je można na granicy państwowej między Czechami i Polską w Górach Kruczych. Część słupków usunięto, przenosząc do miejsc bardziej uczęszczanych. Ogółem znanych jest ich 19. Z tej liczby trzy znajdują się w Krzeszowie, dwa przy kościele Św. Krzysztofa w Lubawce-Podlesiu, po jednym na zamku w Bołkowie i



Czyżby kolejny słupek zabytkowy?
Na zdjęciu: A. Hermański i Z. Sarnecki
Foto: Jerzy Sarnecki

przed strażnicą Służby Granicznej w Lubawce, a pozostałe tkwią na granicy. Na razie nieznan jest los słupków, które znajdowały się w szkołach w Lubawce i Okrzeszynie. Nieznan jest też los dwu innych przewiezionych do Muzeum w Kamiennej Górze. Trwający od dawna remont utrudnia przeszukanie znajdujących się tam zbiorów kamieniarskich. Czytelników, którzy znają los tych słupków, prosimy o informację. Najwyższy znany nr 583 świadczy o tym, że ilość ich przekraczała tę ilość. Należy spodziewać się odnalezienia dalszych. Dotychczas nie mamy wiadomości, mimo poszukiwań na terenie okolic Żaclęfa, o istnieniu słupków jezuickich lub cysterskich po tamtej stronie.

Na słupkach cysterskich umieszczano mitrę opacką i pastorał, symbole godności opatów. Nad mitrą litery I A G oznaczają *Innocentius Abbas (Opat) Grissoviensis (Krzeszowski)*. Liczba poniżej mitry oznacza rok. Wszystkie słupki na zaokrągleniu u góry posiadają krzyżyk i niżej kolejny numer.

Słupki jezuickie posiadają wyryte godło używane przez ten zakon, litery I H S, nad literą H krzyżyk (*In Hoc Signo*), 1727 umieszczone niżej także oznacza rok. Pod tą liczbą litery R S S J to *Residentia Scharzlariensis Societatis* oznacza siedzibę żaclerską wspólnoty jezuickiej (reprezentacyjną).

Zygmunt Sarnecki

CZESKIE WĄTKI W WIELKOPOLSCE czyli wędrowki z gór śląsko-czeskich na niziny polskie

W ostatnich czasach wzrasta zainteresowanie turystyką skierowaną na czeską stronę Sudetów. Popularne są obecnie hasła o potrzebie wzajemnej współpracy Polaków, Czechów i Słowaków, i rozszerzenia wzajemnych kontaktów organizacji turystycznych. Stało się to możliwe po otwarciu granicy, ale nadal czekają jeszcze na otwarcie niektóre istniejące kiedyś przejścia graniczne, które były odbywał się niekiedy nie skrupowany ruch pieszy po obu stronach gór. Te, jakże słuszne wnioski o umożliwienie takich wzajemnych odwiedzin sąsiadów, bywają najczęściej uzasadniane lakonicznym stwierdzeniem o naszych odwiecznych historycznych stosunkach w przeszłości.

Najczęściej powołujemy się na Mieszka I, podkreślając, że wziął sobie za żonę czeską księżniczkę Dobrawę, a potem to już było, jak na braci Słowian przystało, okresowe walki, bo to raz jedni, raz drudzy dokonywali wypraw wojennych na terytorium sąsiada. Trochę także mówi się o bolesnym problemie Zaolzia i Śląska Cieszyńskiego – sprawy wielokrotnie nagłaśnianej... i tak, jak gdyby już nic więcej nie było. Po prostu, wiadomości, jak to w ciągu wieków pomagaliśmy sobie, są raczej skąpe.

Chciałbym więc przypomnieć kilka mało znanych epizodów i faktów z tych wspólnych dziejów, będących przykładem wzajemnej życzliwości i udzielania sobie pomocy. Nieco bardziej znany jest fakt, że to właśnie w bitwie pod Grunwaldem pomagali nam czescy husyci. Nieco mniej już rozpowszechniona jest znajomość dalszych losów husytów, którzy, jak wiemy, po okrutnej, bratobójczej wojnie, której dość burzliwy przebieg miał miejsce na Śląsku, zostali niemal doszczętnie rozbici. Nikt jednak nie zapyta, co stało się z tymi husytami, którzy po likwidacji ośrodków husytyzmu na Śląsku i po zdobyciu opanowanych przez nich zamków, ocalał z pogromu? Otóż spora ich grupa znalazła schronienie w życzliwej i gościnniej... Wielkopolsce. Byli to głównie uciekinierzy z pobliskiego Śląska.

Ziemią Zbąszyńską, której znaczne terytoryjnie obejmowała wtedy rozległa puszcza, władał wówczas Abraham Zbąski, który w 1425 r. otrzymał te tereny od Władysława Jagielli. W 1431 r. posłował on w imieniu króla do Chebu w Czechach, gdzie zetknął się z ruchem husyckim. Zbąski już wcześniej prowadził walkę z Kościołem i kolejnymi biskupami poznańskimi, zakładając w Zbąszynie najsilniejszą w Wielkopolsce gminę husycką. W tym okresie przyjął osadników z Czech i założył szereg wsi dla m.in. zbiegłych husytów. Niektóre obecne nazwy w okolicy Zbąszynia i Nowego Tomyśla przypominają tamte czasy, jak np. Czeskie Stare, Czeskie Nowe, Łomnica i inne. W walkach z biskupami poznańskimi Abraham Zbąski poniósł klęskę, a ludność czeska stopniowo wyrzekała się husytyzmu i ulegała spolszczeniu, choć, jak to zauważają niektórzy etnografowie, tereny te charakteryzują nieco odmienne cechy etniczne.

W XVII w., w czasie wojny 30-letniej,



Słupki jezuicki. Repr.: Zygmunt Sarnecki

Czesi znów znaleźli schronienie w – jak zwykle gościnniej – Wielkopolsce, pomagając tu jednocześnie w rozwoju oświaty. W 1628 r. w Lesznie osiedlił się słynny czeski pedagog – Jan Amos Komeński, zakładając tam gminę protestancką złożoną z czeskich uchodźców, m.in. ze Śląska. Został on później rektorem gimnazjum w Lesznie, a także pomagał wojewodzie poznańskiemu Krzysztofowi Opalińskiemu w założeniu gimnazjum w Siemakowie, gdzie nieco później, w pobliskich Szamotulach czy Skokach, powstają gminy braci czeskich. W tym samym okresie Czesi osiedlają się ponownie w okolicach Zbąszczyń i w innych miejscach na terenie Wielkopolski.

W XVIII w. ma miejsce kolejna fala osadników z Czech, a także ze Śląska czy Niemiec, na tereny dotknięte wyludnieniem po zarazach w Wielkopolsce. Pamiątką jednego z czeskich epizodów osadniczych są nazwy wsi, np. Tabor Wielki i Tabor Mały w okolicach Ostrzeszowa, i ich zabudowa.

Wielkopolscy możnowładcy zawsze odnosili się ze zrozumieniem do osadników, co dawało jednocześnie możliwość wprowadzenia na terenie Wielkopolski nowocześniejszych metod gospodarowania, a także wniesienia na ten teren dużej tolerancji religijnej. Ale to już odrębne zagadnienie.

Jednym z najstarszych, zachowanych do dziś, materialnych dowodów wspólnych polsko-czeskich dziejów i wspólnej kultury europejskiej są kamienne zworniki na gotyckim sklepieniu w piwnicy ratusza w Poznaniu z herbem – czeskim lwem: pamiątką z okresu panowania polsko-czeskiego króla Wacława II z rodu Przemyślidów, ożenionego z Elżbietą Ryksą (zwaną Raiczką) – córką księcia wielkopolskiego i króla Polski, Przemysła II. Wacława II koronował w 1300 r. arcybiskup Jakub Świnka, pochodzący ze śląskiej rodziny Świnków, a uroczystość ta odbyła się w Gnieźnie...

W XIX w. w Wielkopolsce powstały silne skupiska zwolenników jedności słowiańskiej; istniały pisma, w których propagowano ten ruch, przypomniano o wspólnym, słowiańskim rodowodzie Polaków, Czechów, Słowaków... Dobrym przykładem panujących w Wielkopolsce przekonań w tym względzie jest duża frekwencja działaczy z Wielkopolski i ich wkład w organizację Zjazdu Słowiańskiego w Pradze w 1848 r., działalność w licznych towarzystwach, np. w Towarzystwie Literacko-Słowiańskim we Wrocławiu, na tamtejszym uniwersytecie.

W okresie międzywojennym pierwsze Towarzystwo Polsko-Czechosłowackie powstało właśnie w Poznaniu i nigdy formalnie nie zostało rozwiązane. Jego czołowym działaczem i współzałożycielem był wybitny turysta i krajoznawca (założyciel Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid” w Raciborzu i Cieszynie), propagator wędrowek po śląskich górach, ówczesny prezydent miasta Poznania – Cyryl Ratajski. Nawoływał on wielokrotnie do współdziałania Polski z Czechosłowacją i przestrzegał Polaków, Czechów i Słowaków przed skutkami prowadzenia odrębnej i krótkowzrocznej polityki. Jego słowa, niestety, okazały się „proroctwem”...

Kreśląc tych kilka słów, nie wyczerpano bynajmniej tego obszernego tematu, który z pewnością wymaga pełnego i spójnego opracowania. Piszący ten tekst zamierza jedynie zasygnalizować, o czym można porozmawiać z naszymi sąsiadami zza gór, w czasie spotkań bądź wspólnych wędrowek na szlaku.

Lech Rugała

Byłem kilka razy w Zakopanem. Zwiedzałem samo miasto. Drogę pod Reglami, Gubałówkę. Zwiedziłem też Poronin. Pewny siebie, jako czternastolatek, do zaliczenia małej złotej GOT wybrałem Tatry.

Dopiero teraz zobaczyłem prawdziwe Tatry – piękne, ale i groźne. Zobaczyłem, jaki człowiek jest „maluczki”

PIERWSZE PRZEŻYCIA

Moje spotkanie z Tatrami

wobec przyrody. Zrozumiałem, dlaczego tatuś tak nie chciał zgodzić się na Tatry i dlaczego wolno je zaliczać dopiero do małej złotej GOT. Dostałem porządną naukę! W pierwszym dniu dojeżdżamy do Toporowej Cyrhli i stąd ruszamy szlakiem czerwonym. Droga monotonnie prowadzi przez Psią Trawkę, Rówień Waksrudzką do Wodogrzmotów Mickiewicza i dalej do schroniska im. W. Pola w Roztoce. Nic nie zapowiadało czekających mnie przeżyć. Ot, góry przypominające znany mi Beskid. Ruszamy dalej i przez Włosienicę docieramy do Morskiego Oka. Jego panoramę tworzą najwyższe szczyty Polskich Tatr – masyw Mięguszwickiego Szczytu, grzbiet Żabięgo, Rysy, Cubryna, Mnich. Żleby i piargi podnoszą majestatyczność tych szczytów. Ja jutro mam wejść na nie. Nie mam czasu się zastanawiać, gdyż okazuje się, że schronisko jest nieczynne i musimy „glebować”, czyli spać na ziemi. Z obrazem panoramy Morskiego Oka, zmęczony drogą – zasypiam.

Wczesnie rano, po śniadaniu, zostawiamy plecaki i wchodzimy na Rysy. Drogą nad brzegiem Morskiego Oka docieramy do Czarnego Stawu i następnie stromo przez piargi i grzędy na szczyt. To nie takie proste, jak się pisze. Gdzie miałem serce wspinając się po klamrach i łańcuchach, to tylko jeden Pan Bóg wie. Pogoda nie była bardzo ładna i widoczność ograniczona. Wracamy do Morskiego Oka. Zabieramy plecaki i po krótkim odpoczynku ruszamy do schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, za znakami niebieskimi, przez Świstówkę i Opalone. Trasa ładna, nie posiadająca odcinków wspinaczkowych, po 2 godz. doprowadza nas do najwyżżej położonego

schroniska w Tatrach Polskich (1668 m). Tu zaczyna się problem: brak wolnych miejsc, czyżby znów „gleba? Tata załatwia jedno łóżko – i to dobre. Śpimy razem. Zmęczony i pełen wrażeń usnąłem nie wiedząc, co mnie czeka. Zaraz zostałem obudzony, gdyż jakaś banda pseudoturystów urządziła sobie zabawę do późna w nocy, pijąc, śpiewając, tańcząc.

Niczym zbójnicy – szkoda tylko, że tak prymitywnie. Noc była straszna, ale dzień miał być jeszcze gorszy.

Wstajemy znów wczesnie rano. Piękna pogoda, idziemy do Hali Gąsienicowej. Mieliśmy iść przez Kozią Przełęcz – odradzono nam. Wybraliśmy przez Krzyżne – i to był błąd. Początkowo szlak niebieski nad Przednim Stawem, Małym Stawem, Wielkim Stawem prowadził stromą, ale wyraźną ścieżką stosunkowo pionowo w górę. Około 1/4 drogi od szczytu zaczęły się wymyte piargi, w których ginęła ścieżka. Brak właściwego oznakowania. Wręcz na czworakach wspinamy się w górę. Pełne plecaki ciągną do tyłu. Przychodzi moment załamania, płacz. Co robić? Zejście jeszcze gorsze. Chwilę odpoczywamy,



Morskie Oko. Foto: Piotr Dacko



Otoczenie Hali Gąsienicowej: Kozi Wierch, Mały Kozi Wierch, Kościelec, Mały Kościelec i Świnica. Foto: Zdzisław J. Zieliński

dochodzę do siebie. Spotykamy dwóch młodych turystów, którzy idąc przed nami szukają i pokazują nam ścieżkę. Powoli dochodzimy do szczytu Krzyżnego i tu dopiero Pan Bóg okazał się sprawiedliwy. W nagrodę za trudy podejścia otrzymałem takie widoki, jak rzadko tu się spotyka. Wspaniały widok na Tatry Słowackie i Polskie, prawie granatowe – pokazujące swoją majestatyczność. Niebo bez jednej chmurki. Ten widok na prawie pionowe ściany Krzyżnego z przewijającą się ścieżką, którą z takim trudem przebyłem. To było naprawdę straszne – te ciężkie plecaki ciągnące do tyłu i brak pomocy, ta walka z własną słabością do wiary w siebie. Wszystko to stało się wynikiem braku prawidłowego oznakowania. Po odpoczynku, nadal szlakiem żółtym, wspaniałym widokowo, przez Czerwony Staw dochodzimy do schroniska „Murowaniec” na Hali Gąsienicowej. Udało się załatwić jedno łóżko – wystarczy. Zostawiamy plecaki i wychodzimy zielonym szlakiem nad Czarny Staw Gąsienicowy i dalej przez Karb na Kościelec. Piękne, niezapomniane widoki. Musimy szybko wracać. Po drodze mijamy kamień pamiątkowy ku czci Mieczysława Karłowicza, kompozytora i miłośnika Tatr, który zginął w tym miejscu w lawinie śnieżnej w 1909 r. W pokoju poznałem miłych turystów, ale bardzo zmęczony – szybko usnąłem.

Rano, żółtym szlakiem podchodzimy na Kasprowy Wierch. Droga nużąca, nieciekawa. Na szczycie poznałem bardzo miłego przewodnika, który prowadził wycieczkę na Świnicę. Nie wiem

dlaczego, ale „wpadłem mu w oko” i zaproponował nam dołączenie do tej wycieczki. Zostawiamy plecaki i ruszamy w drogę czerwonym szlakiem. Droga bardzo ciekawa, tylko pogoda już zaczęła się „psuć”. Podejście na Świnicę ciężkie, dobrze, że byli zaawansowani turyści i trochę mi pomogli. Wracamy na Kasprowy Wierch. Po odpoczynku ruszamy w kierunku przeciwnym – ku Przeł. pod Kopą Kondracką. Pogoda się utrzymuje, widoki piękne. Znakami zielonymi schodzimy do schroniska na Hali Kondratowej. W pewnym momencie, w Długim Żlebie, widzę pasące się trzy kozice – pierwszy raz widzę je w naturalnym środowisku. Trochę wyżej, w żlebie ze śniegiem, zobaczyłem stado około piętnastu kozic przechodzące majestatycznie z jednego końca w drugi. Piękny widok, ale w schronisku trochę gorszy. Całkowity brak miejsc i... znowu „gleba”.

Rano zostawiamy plecaki i przez Piekło i Przeł. Kondracką idziemy na Giewont. Pogoda uległa pogorszeniu, bardzo słaba widoczność. Wracając odbieramy plecaki i za zn. zielonymi schodzimy do schroniska na Kalatówkach. Po krótkim odpoczynku wchodzimy na szlak czarny – Ścieżką nad Regłami. Ostrymi zakosami w wysokopiennym lesie wznosimy się zboczami na siodło Przeł. Białego. Trawersujemy pięknie i fantazyjnie ukształtowane turnie Zameczków i dochodzimy do Czerwonej Przełęczy. Po drodze, na otwartych przestrzeniach wylaniają się z chmur (po-

goda pochmurna) szczyty w kierunku do Kasprowego i Świnicy oraz masyw Giewontu. Ścieżką wśród lasu, miejscami stromo zakosami, dochodzimy do Polany Strążyskiej. Dalej przez Przełęcz w Grzybowcu, Polanę Małej Łąki dochodzimy do Przysłopa Miętusiego. Po lewej ręce mijamy imponujący masyw Czerwonych Wierchów, które tu odsłaniają wielkie urwiska od strony północnej. Za zn. czerwonymi, gęsto zalesioną dolinką (Staników Żleb) dochodzimy do przysiółka Nędzówka, gdzie u znajomych mamy nocleg.

Pogoda zrobiła się bardzo brzydka, więc zdecydowaliśmy się rano jechać do domu. Wyprosiłem jeszcze jeden dzień na zwiedzanie jaskiń Doliny Kościeliskiej: Mroźnej, Okien Zbójnickich, Mylnej i Raptawickiej oraz dolnej partii Wąwozu Kraków. Nie dochodzimy do schroniska na Hali Ornak, gdyż trzeba szybko wracać. Przyrzekłem sobie, że będę tu jeszcze, i dotrzymam słowa. Tak kończy się moja przygoda z Tatrami.

Na koniec trochę refleksji. Aby móc bezpiecznie poznać te góry, w przygotowaniach wycieczki należy brać pod uwagę pierwszą zasadę: „mierz zamiar według sił”. Ja najlepiej to wiem. To, co przeżyłem, było piękne, ale bardzo niebezpieczne. Będę o tym pamiętał i przestrzegał innych.

Robert Żabówka jr.



Wodogrzmoty Mickiewicza

Foto: Piotr Dacko

Wysokie góry to nie tylko piękne krajobrazy, nienaruszona przyroda i atrakcyjne możliwości trekkingu czy wspinaczki, ale też możliwości osiągnięcia fortuny. Tak się przynajmniej wydaje grupie poszukiwaczy, którzy postanowili w wysokich przecież Andach odnaleźć legendarny skarb, o niewyobrażalnej wręcz wartości, otoczony gęstą zasłoną tajemnicy od kilku już wieków. Być może sprawiła to trwająca w tym roku „moda” na Amerykę w związku z pięćsetleciem dopłynięcia do Nowego Świata przez Krzysztofa Kolumba. Jak doniósł lipcowy „Sundy Times”, w 1984 r. potomek inkaskiego króla Atahualpy Oswaldo Garces odkrył pamiętniki niemieckiego poszukiwacza Eugene'a Brunnera.

Na tropie skarbów Inków

Tenże przez ponad pięćdziesiąt lat przeszukiwał masyw Llanganati w ekwadorskiej dżungli. Wśród jego materiałów znalazła się mapa z narysowanym ponoć dojściem do skarbu. A co to był za skarb?

W tym celu należy cofnąć się do 1530 r., kiedy żołnierze arcykatolickiego króla Hiszpanii, pod przywództwem znanego później ze swego okrucieństwa i wiarołomstwa Francisco Pizarro, porwali wbrew swym gwarancjom Atahualpę i zażądali okupu ze złota. Miał, nie mniej nie więcej, wypełnić całą wskazaną komnatę. Inkowie dowiedzieli się jednak, iż Hiszpanie zbyt wcześnie ujawnili swój prawdziwy zamiar – mordując króla i oczekując złota. Okup został ukryty w górach i Indianie uderzyli na konkwistadorów. Czym się to skończyło, dobrze wiemy. Natomiast o złocie zaczęła rosnąć legenda. Nic dziwnego, bo ocenia się, iż było go 780 ton, w tym srebra i szlachetnych kamieni. Musiało to być gdzieś blisko miejsca walki, skoro na przeniesienie tej ilości skarbu zajęto tylko trzy dni, co na warunki andyjskie jest bardzo mało.

Wspomnianemu Garcesowi udało się pozyskać dwudziestu czterech zainteresowanych i w maju br. wyruszyła ekspedycja z ultranowoczesnym sprzętem poszukiwawczym. W dolinie Maqui odkryto wkrótce fragment królewskiej Drogi Inków, niezłe zachowanej mimo wielu tektonicznych wstrząsów, jakie często nawiedzają ten obszar. Niedaleko od niej, w Chury Ucto, natrafiono na jaskinię, która być może jest wejściem do ukrycia. Po pokonaniu w niej ponad trzydziestometrowej studni przedostano się do dużej komory, żywcem niemal przypominającej scenery z głośniego filmu „Indiana Jones”. Była w niej i pułapka wodna, którą sporym wysiłkiem osuszono. W ten sposób dotarto do dużego blokowiska, ocenionego jako sztuczne. Uczestnicy wyprawy byli święcie przekonani, że jest to usypisko utworzone przez Inków celem zablokowania wejścia do właściwej komory ze skarbem. Prace, przynajmniej w lipcu, kontynuowano. Czy zawalisko zostanie usunięte, co za nim się ewentualnie znajduje? Oto pytania, które z pewnością nie tylko naszych Czytelników intrygują. Na razie agencje światowe milczą o odkryciu tak rewelacyjnego znaleziska. Przecież trzeba, że choć sprawa bliska jest prawdziwym mitom, to wydaje się bardziej prawdopodobna niż poszukiwanie arki Noego, która pochłonęła już niedługo milion dolarów. No coż, można wydawać pieniądze na gorsze rzeczy, więc nie jest jeszcze tak źle.

K. R. M.

40 lat temu na łamach „Turysty” (1)

Wypełnianie dotkliwej luki

Inicjatorzy wydawania „Turysty” – organu PTTK, zapewne nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo w 1952 r. było potrzebne czasopismo tego rodzaju. Przypominam, że było to półtora roku po zjednoczeniu PTT z PTK i innymi organizacjami. Powstało PTTK, które – jak się szybko okazało – przyciągnęło wielu dziennikarzy do władz, a oni chcieli wiele pisać i rozmawiać z Czytelnikami. Jak się to odbywało, w jakim stylu, co znalazło się na łamach, kto to pisał – to osobny rozdział dziejów nie tylko czasopisma, ale także naszej turystyki.

Przypominam, że „Turysta” ukazał się 22 lipca, a więc „ku czci”. Ponadto w Warszawie odbywał się wtedy Zlot Młodych Przewodników – Budowniczych Polski Ludowej. Tego samego dnia Sejm uchwalił Konstytucję, która (z wieloma zmianami) obowiązuje po dzień dzisiejszy.

W artykule wstępnym prezes PTTK – Włodzimierz Reczek podkreślił m.in., że w Konstytucji po raz pierwszy wymieniono turystykę jako gwarancję obywatelskiego prawa do wypoczynku, a organ PTTK będzie krzewił miłość ziemi ojczystej i pomagał naszemu społeczeństwu walczyć o pokój i wykonanie Planu 6-letniego.

Pomijamy brzmienie dziś deklaratywne, a nawet sztucznie i nieszczerze, slogany. Wiadomo, że turystykę i krajoznawstwo wielu luminarzy naszego ruchu chętnie zaprzęgało do celów wskazanych we wspomnianym artykule wstępnym. Schyłek okresu, zwanego dziś „stalinowskim”, wtedy dla wielu był czasem głoszenia starych prawd w „nowych szatach”. Wielu – na łamach „Turysty” można to przeczytać i dziś – podlizywało się władzom, jak zwykle w takich razach bywa.

Interesująco po latach wygląda obraz gór, jaki w tamtym czasie ukazał się na łamach „Turysty”. Odgródzone od swych miłośników przepisami o strefie przygranicznej i ochronie granicy, przestrogi o potrzebie czujności na każdym kroku, spustoszone po akcji „Wisła” lub przez pościgi za pseudo-partyzantami, odzyskane na zachodnich krańcach – więc mało znane. I na dokładkę każdy, kto chciał je podziwiać z bliska, musiał mieć kilka podlegających kontroli dokumentów, np. kartę urlopową.

Pierwszy numer „Turysty” otwiera Władysław Krygowski opisem Podtatrzańskie Szlaki Wolnościowego. Biegi od Chochołowa przez Poronin do Czorsztyna, miał trzy odcinki poświęcone pamięci Powstania Chochołowskiego, Leninowi na Podhalu i powstaniu Kostki Napierskiego (na GOT 30/31 pkt). Uroczyste otwarcie odcinka „Leninowskiego” nastąpiło 5 października 1952 r. Na sąsiednich stronach Walery Goetel pisał: „Poznajemy piękno Polski” – zdawkowo wymieniając Tatry, Pieniny, Beskidy, a na zachodzie Karkonosze, Góry Sowie i Hejzowiny pod Kłodzką.

Znajdujemy też reportaż Jalu Kurka o 50 latach ratowniczej służby Jędrzeja Marusarza, który poszukiwał w lawinie Mieczysława Karłowicza, znosił zwłoki Klimka Bachledy i Wincentego Birkenmajera. Był to czas, kiedy dojrzała koncepcja pomnożenia TOPR, aby działała taka służba ratownicza w każdej grupie gór. I stało się to niebawem.

Polska Ludowa chce umożliwić masowe odwiedzanie tej pięknej części naszych gór – czytamy o Beskidzie Śląskim, gdzie niebawem zbudowana zostanie kolejka linowa na Szymbielnię. Tej samej idei hołdowali budowniczowie kilku tatrzańskich schronisk. Pod hasłami umasowienia turystyki w Tatrach budowano obiekty na Polanie Chochołowskiej i w Dolinie Pięciu Stawów Polskich (obydwa otwarte w

1953 r.). Reportaż z jego budowy też znalazł się w pierwszym numerze tego pisma.

Ze zdumieniem stwierdzamy po latach, że „Turysta” to był miesięcznik, w 1952 r. ukazało się 5 numerów dużego formatu, drukowanego w kolorach, ale bardzo jeszcze „szarych”. Na pierwszy rzut oka jego łamy wyglądały tak samo, jak przedwojennego „Turysty w Polsce”.

Do annałów polskiej anegdoty turystycznej przeszło odznaczenie w 1952 r. Mieczysława Orłowicza – nestora polskiego ruchu turystycznego i krajoznawczego, miał wówczas 71 lat – odznaką i dyplomem „Przewodnika Pracy za zasługi w turystyce”. W nagrodę dostał również skórzaną teczkę z grawerowaną plakietką. Wyróżniony powiedział z tej okazji: „Turysta ma spełnić swe zadanie, musi trafić do najszerzych mas pracujących, a przede wszystkim do młodzieży, i musi być redagowany w sposób zrozumiały dla mas i tak pięknie, jak piękną jest nasza Ojczyzna. Musi być żywe i ciekawe, porwać młodzież. Nie mam pewności, czy wypowiedź była wtedy autoryzowana, ale to też symbol czasów...”

W szanującym się czasopiśmie nie powinno zabraknąć działu listów, kroniki wydarzeń, recenzji. I tak było w „Turystyce”. Dowiadujemy się już z pierwszego numeru o obyczajach, które można dziś uznać za egzotyczne. Niewątpliwie zaliczyć do takich wypadła kurs znakarski dla młodzieży szkolnej, którego uczestnicy wymalowali kilka szlaków w Górach Sokolich.

Aż trudno powstrzymać się od pytania: Gdzie są chłopcy z tamych lat? Kochani, zgłóście się do redakcji „Na Szlaku”, wszak Wasza praca to kawałek naszej wspólnej historii. Podobnie jak informacja, że właśnie w lipcu (?) 1952 r. otwarto świeżo wyznakowany szlak Komańcza – Cisna (punkty na GOT 20/20 – czy tyle samo punktów zalicza się i dzisiaj?).

Jak przystało na czasy umasowienia turystyki, autor notatki dowodzi niezbicie, że GOT stał się już odznaką popularną i będzie zjednywał coraz więcej miłośników gór. Chodziło o to, żeby czym prędzej przełamać barierę 10 tys. odznak zdobywanych w ciągu jednego sezonu turystycznego. Najlepsze wyniki wówczas osiągał Oddział w Jeleniej Górze i... wzywał do współzawodnictwa. Byli pewni swego, bowiem w okolicy rozkwitały wczesny pracownicze i krajoznawcze, m.in. na trasach w Karkonoszach i po Ziemi Kłodzkiej. W 1952 r. planowano wyznakowanie 975 km nowych szlaków w górach i odnowienie 500 km. Wiele pozwala przypuszczać, że plan ten został przekroczony, bo taka była wtedy moda.

Tymczasem na Prehybie odbył się masowy, jakże by inny, lipcowy Zlot Gwiazdzysty. Chodziło o to, żeby czym prędzej stanęło na polanie podszczytowej schronisko. I rzeczywiście, w 1953 r. otwarto, ale tylko prosty schron – na prawdziwe schronisko trzeba było czekać do lipca 1958 r.

No i coś na zakończenie do półgłosego śmiechu. Oto w konkursie na pracę krajoznawczą o charakterze przewodnika (udział wzięło 43 autorów), VII nagrodę dostał znany skądinąd Kazimierz Sosnowski. Nestor turystyki beskidzkiej pracę tę pt. „Jurajskie Pasma Krakowsko-Jaworznickie” napisał pod pseudonimem „Wulkany w służbie Polski Ludowej”.

Ech, były to czasy, były, ale się minęły. Warto czasem sięgnąć do starych czasopism. I łączyć w oku zakręci i pośmiać się można. Ciekawe, co kiedyś napiszą o naszych czasach?

Tomasz Kowalik

GORY I ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Lwowa

HIMALAJE * ALPY * TATRY * SKALY

Ilustrowane przezroczkami spotkania z „zym” alpinistą są popularną formą powożeczniania własnych dokonań i dają możliwość – ale tylko na Zachodzie – zarobienia wcale niemałych pieniędzy. Prelekcje takie gromadzą („tam”, nie u nas) od kilkuset do kilku tysięcy słuchaczy, płacących za wstęp kilka do kilkunastu DM, co, po odliczeniu kosztów, pozostawia w kieszeni organizatora, tzn. alpinisty, spory dochód. W Polsce również organizuje się podobne spotkania, przeważnie z inicjatywy kierownika jakiegoś klubu, biblioteki lub szkoły, usługującego „coś robić” dla korzystających z danego przybytku kultury lub oświaty. Wstęp jest z a w-

korzenionych w społeczeństwie obiegowych sądów i stereotypowych przekonań, nie mających nic wspólnego z rzeczywistością. W dużej mierze wynika to z faktu, że stosunkowo mało pisze się o tym nietypowym i rozgrywającym się z dala od widzów sporcie. Nie bez winy jest również szkoła, gdyż rażące braki w ogólnym wykształceniu geograficznym nie są inaczej wytłumaczalne.

Poniżej podam kilka przykładów i mam nadzieję, iż wyjaśni to choć część kwestii nurtujących czytelników. Nawet jeśli niektóre z opisanych dalej zagadnień wydadzą się komuś try-

niami alpinistycznego słownika. Tym samym upiekę dwie pieczenie na raz i ułatwię sobie pisanie w przyszłości, mając już w pełni wyrobionego czytelnika.

Jeden ze wspinaczy wchodzących w skład „zespołu wspinaczkowego” idzie „na pierwszego” lub mówiąc inaczej – „prowadzi”, a w tym czasie drugi jest przymocowany do haków na „stanowisku” i ubezpiecza go. Po przejściu długości liny asekuracyjnej („wyciągu”), prowadzący zakłada stanowisko i „ściągą”, czyli asekuruje, idącego w ślad za nim partnera, który potem przeważnie obejmuje prowadzenie na następnym wyciągu.

„Jak wbija się haki w skałę?”. Wiele osób jest przekonanych, że haki asekuracyjne wbija się w litą skałę i nie bardzo może pojąć, jak jest to możliwe. Oczywiście, słuszne te wątpliwości wynikają z doświadczenia życiowego traktującego skałę jako synonim twardości. Otóż, haki skalne wbija się w s z c z e l i n y i pęknięcia, a w zależności od ich rozmiarów dobiera się grubość i kształt haka w ten sposób, by dało się go wbić aż po ucho, w które potem wpina się karabinek z liną. Obecnie, zamiast haków coraz częściej stosuje się różnego rodzaju metalowe kostki zaopatrzone w stalowe linki. Kostkę klinuje się w szczelinie, a do linki wpina się karabinek. Młotek staje się wtedy zbędny i założenie „przelotu” odbywa się bardzo szybko, choć prawidłowe założenie kostki nie zawsze jest sprawą prostą.

„Jak wygląda wierzchołek?”. Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi, gdyż bywa bardzo różnie. Nawet najwyższe góry Ziemi miewają często niezwykle śmiałe w kształcie i trudno dostępne szczyty, dodatkowo przyozdobione nawisem firnowym, co w zasadzie uniemożliwia postawienie stopy na punkcie rzeczywistości najwyższym. W takiej sytuacji rezygnuje się z włączenia na nawis z obawy przed spadnięciem razem z nim, a na własny i szeroki użytek uzasadnia się to pragnieniem niezakłócenia spokoju bogów zamieszkujących – jak wiadomo – wierzchołki górskich olbrzymów. Z własnego doświadczenia wiem, że tego typu wygląd mają m.in. kulminacje Manaslu – 8163 m i Lhotse – 8516 m n.p.m. Bywa również, iż szczyt jest rozległym plateau firnowym i z pewnym trudem przychodzi wówczas ustalenie, gdzie teren wznosi się najwyżej. Tak jest np. w przypadku Cho Oyu – 8201 m n.p.m. Góry niższe, a jednocześnie stosunkowo młode, mają przeważnie wierzchołki skaliste, czasem tak ostre, że można na nich usiąść tylko okrzakiem.

Niestety, ciekawość osób uczestniczących w spotkaniach z alpinistami nie ogranicza się wyłącznie do pytań jak wyżej lub do zadawania – ulubionego zwłaszcza przez dziennikarzy – pytania: „dlaczego się wspinacie?”. Bardzo często, choć nie bez krępacji, poruszane są także kwestie dotyczące „intymnych” aspektów życia alpinistycznego, z bliżej niewyjaśnionych powodów pomijanych w beletryście górskiej, a budzących zrozumiałe zainteresowanie. O tym w następnym odcinku.

c.d.n.

Aleksander Lwow

STEREOTYPOWE PYTANIA

s z e bezpłatny, zaś honorarium dla autora odczytu, płatne z jakiegoś tam „funduszu bezosobowego”, jest przeważnie śmiesznie niskie i ma charakter raczej symboliczny. Krępuje to na równi obie strony kontraktu (trzy egzemplarze umowy plus oświadczenie podatkowe), „zleceniodawcę” i „zleceniobiorcę”. Najczęściej jednak próbuje się zaprosić alpinistę na spotkanie zaznaczając z góry, że gratyfikacja nie jest możliwa, i o dziwo, zwykle ze skutkiem pozytywnym. Wówczas reklama ogranicza się zazwyczaj do sporządzenia metodą chałupniczą plakatu lub – w najlepszym wypadku – do miniatury informacji w prasie. Na miarę tego kształtuje się więc frekwencja; od kilku (!) do kilkudziesięciu osób, najczęściej 20–30, nigdy jednak więcej niż 200, i to tylko w przypadku znanego nazwiska i dobrej reklamy.

Udział w wielu spotkaniach pozwala po jakimś czasie na zorientowanie się, co najbardziej interesuje nie związanego z górami szarego obywatela. Wychodzi przy tym na jaw, jak wiele jest za-

wialne lub śmieszne, to jednak proszę pamiętać, że zostały one zaczerpnięte „prosto z życia” i rzeczywistość są bardzo często poruszane podczas prelekcji.

„Kto wam tam na górze zaczepia linę, po której wchodzić?”. O technice wspinania oraz o klasycznym i hakowym przechodzeniu dróg już wspomniałem i w zasadzie powinno to wystarczyć. Podkreślam: lina służy przede wszystkim do u b e z p i e c z a n i a się na wypadek odpadnięcia od ściany. Tylko sporadycznie używa się jej jako „sztucznego ułatwienia”. W takim przypadku lina może być umocowana w haku skalnym lub lodowym. Czyni to jeden z członków zespołu, który jest najczęściej dwuosobowy. Liny wspinaczkowe mają od 35 do 50 m, czyli przejścia ściany dokonuje się takimi mniej więcej odcinkami.

Kontynuując walkę z zakorzenionymi stereotypami i mitami, chciałbym jednocześnie zapoznać Państwa z podstawowymi wyraże-



Himalaje – Annapurna (8091 m). Foto: J. Kukuczka z archiwum A. Lwowa

PIEŚŃ GÓRALSKA

Czerwony płaszcz, za pasem broń
I topór, co błyska z dala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala.

Gdy świeży liść okryje buk
I Czarna Góra szernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg,
Odżyły nasze nadzieje.

Pękl rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz szumi po skale;
Nuż w dobry czas kędziory trzód
Weseli kápce górale!

Połonin step na szczytach gór,
Tam trawa w pas się podnosi,
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato,
Tam runom ich pozwólcie rósć
Tam idźcie na całe lato!

A kiedy mróz posrebrzy las,
Ładujcie ostrożnie konie,
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy dłonie.

Józef Korzeniowski



Kępa tojadu ostrego na Hali Gąsienicowej
Foto: Zdzisław J. Zieliński

Rozmyślania na szlaku (20)

Wakacje, wakacje i po wakacjach. Przeszły by one bez większych wrażeń, gdybyśmy nie żyli w ciekawych czasach afer, spółek, fundacji i różnych szkół. A propos szkół. Trwa dalej „Wojna Pokojowa”, prowadzona przez koalicję w osobach szefa tzw. Szkoły Górskiej Przewodników pana Pokoja i dyrektora Karkonoskiego Parku Narodowego przeciwko przewodnikom i turystom. Turyści, chcąc wejść na teren KPN, powinni uiścić opłatę, tylko nie wiadomo ile, komu i za co. Natomiast przewodnicy, aby móc prowadzić wycieczki na terenie parku, powinni wykupić odpowiednią licencję. Tu już wiadomo ile – 400 000 zł, – Szkole Górskiej Przewodników, tylko nie wiadomo, za co. Ale, jak to w siwie bywa, wpływy będą dzielone po chrześcijańsku, pół na pół. Połowę KPN, połowę SGP. Ciekawe tylko, na co te pieniądze zostaną zużyte. Jak twierdzi kierownik SGP, doła przeznaczona dla szkoły zostanie zużyta na *doposażenie przewodników, ujednoczenie ich strojów i in.* Zrozumiałe jest doposażenie przewodników, po prostu wezmą forsę. Ciekawsze jest natomiast ujednoczenie strojów. Czy wszyscy przewodnicy opłacający licencję otrzymają *doposażenie* i jednolity strój, czy tylko kumple szefa? A tak na marginesie, to o jednolity strój dbają koła przewodników i pan Pokój tu „ni pri czom”. Ale najciekawsze są te „in.” Tu można wcisnąć wszystko, z popijawą włącznie. A wszystkie te działania mają na celu ochronę środowiska. Ja ze swej strony twierdzę, nie bez uzasadnienia, że ochrona środowiska jest tylko pretekstem do wyłudzenia nienależnych pieniędzy. Jakoś ani Dyrekcji KPN, ani szanownemu szefowi SGP nie przeszkadzały maniackalne, austriackie plany całkowitej dewastacji rejonu Szrenicy. Czy tu także weszli jakieś pieniądze?

Jak zeznaje w „Gazecie Robotniczej” z 22.07.1992 r. z-ca dyrektora KPN pan Józef Szafran, park już w ubiegłym roku wprowadził opłaty za usługi udzielane na obszarze KPN, tylko zapomniał sprecyzować, o co chodzi. Od kogo i za co pobierano opłaty. Dla odmiany, ze słów obywoch panów, tj. Szafrana i Pokoja, przebija troska o poziom przewodników. Chciałbym usłyszeć, jak rozwija się i jaki poziom reprezentuje pan Pokój, który chyba został nawiedzony i uważa siebie za największego specja w okolicy. Natomiast panu dyrektorowi wyraźnie pomylili się „kaowcy”, którzy prawią brednie” z przewodnikami. Może w tym dniu pan dyrektor był niedysponowany? A jeżeli „kaowiec” wykupi licencję, to już będzie mógł bredzić? Ponieważ sprawa jest nieco śmieszna, więc, jak to bywa, kumple zaczęli obwiniać się nawzajem o inicjatywę, zrzucając winę jeden na drugiego. A cała afera bierze się stąd, że Karkonoski Park Narodowy nie ma nawet koncepcji zagospodarowania i Dyrekcja chce za wszelką cenę wykazać się swoją działalnością i operatywnością. Z drugiej strony znajdują się ludzie, którzy własne stanowiska wykorzystują dla

swoich prywatnych interesów. Niech ich ma w opiece Maria Magdalena, patronka Najjaśniejszej.

Moje ukochane Polskie Koleje Państwowe również nie zapominają o dostarczaniu tematów. To, że kolejna linia, tym razem z Lubania do Leśnej, została zamknięta, to drobiazg. Jest za to w budynku stacji w Leśnej sklep, oczywiście mniej efektowny niż na Dworcu Świabodzkim we Wrocławiu, ale „wedle stawu grobla”. Był przed kilkoma miesiącami w życiu PKP nietypowy, chwala Bogu krótki, okres, w którym pociągi kursowały w miarę punktualnie. Już z trwogą myślałem, że jak w Drugiej Rzeczypospolitej będzie trzeba regulować zegarki na podstawie kursowania pociągów. Ale nie zawiodłem się. Aż przyjemnie robi się na duszy, słuchając zapowiedzi na stacjach, nie tylko zresztą we Wrocławiu, że np. pociąg pośpieszny z Lublina opóźnił się około 180 minut, albo że na odcinku z Jeleniej Góry do Marciszowa spóźnił się 20 minut. Aż serce rośnie, że jednak PKP wyszły z chwilowego załamania i jest normalnie, czyli z opóźnieniami. Tak wygląda sławetne „przyspieszenie” w wykonaniu PKP. A skoro jesteśmy we Wrocławiu, to czy Dolnośląska DOKP nie mogłaby oznakować po polsku parkingu przed swoim gmazyszkiem? Ja rozumiem, że *Przyjaźń, Przykład, Pomoc* zapadły głęboko w świadomość, ale to nie powinno przeszkadzać w posługiwaniu się językiem polskim.

Nowe szlaki w Sudetach

Na Pogórzu Izerskim i w Górach Izerskich zostały wyznakowane nowe i przeomalowane niektóre szlaki.

1. Szlak czerwony z Biedrzychowic przez Karłowice do Ośrodka Wypoczynkowego Elektrowni „Turów” nad Jeziorem Złotnickim został przeomalowany z czarnego. Dalej wyznakowano nowy odcinek: przez Złotniki Lubańskie, Augustów, Giebułtów, Giebułtówek, Wolimierz do Pobiednej. Szlak czarny z Pobiednej do Czerniawy-Zdroju przeomalowano na czerwony. W ten sposób powstał szlak czerwony z Biedrzychowic do Czerniawy-Zdroju o długości 23 km.

2. Szlak niebieski (nowy) z Leśnej północnymi brzegami Jeziora Leśniańskiego, przez Bożkowice, zamek Rajska do Ośrodka Wypoczynkowego Elektrowni „Turów” nad Jeziorem Złotnickim. Długość szlaku około 12 km.

3. Szlak zielony (nowy) z Pobiednej przez Gieraltówek, Czerniawską Kopę, Smrek, Stóg Izerski do schr. PTTK „Na Stoku Izerskim”, o długości 12 km. Połączone zostały w ten sposób szlaki zielone: z Lubania do Pobiednej i ze schr. PTTK „Na Stoku Izerskim” do Bolesławca.

Wszystkie te szlaki są bardzo atrakcyjne pod względem krajoznawczym, jak również widokowym. Polecam.